Nr. 8. Lwów. Niedziela dnia 8. listopada 1874 r. Rok I.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr., półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

VII.

Medal na uczczenie pamięci pomordowanych włościan na Podlasiu.

Dwa tygodnie temu wspomnieliśmy o komitecie, zawiązanym we Lwowie, który postanowił uczcić medalem pamięć włościan pomordowanych za wiarę i ojczyznę na Podlasiu przez Moskali, a dziś przytaczamy we właściwem miejscu całą jego odezwę.

Smutne i godne zastanowienia zjawisko, że w kraju mamy zaledwie kilku mężów, którzy nie zapominają o żadnej pamiątce narodowej, którzy patrjotycznemi przejęci uczuciami, spieszą z czynną pomocą nieszczęśliwym wygnańcom, którzy weteranom naszym ostatnią oddają usługę, słowem, którzy zawsze i wszędzie wiedzą, że są Polakami. Ich nazwiska spotykamy na każdej odezwie goretszej, nie podobającej się samolubom i ospałym, i gdyby ich brakło, kto wie czy patrjotyczna myśl strzeliłaby teraz kiedy z łona gnuśnego naszego społeczeństwa. Smutna to niestety prawda, że rzadko kto dziś wie, jakie na nim ciężą obowiązki!

Szlachta nasza, która niedawno jeszcze przechowywała w swoich dworkach, jak święty ogień Znicza, czystą miłość ojczyzny, wysiliwszy się w bezowocnej walce politycznej, i zobojętniawszy dla wszystkiego, a nawet dla siebie, osłania się coraz grubszym konserwatyzmem, jak niedobitki okopami św. Trójcy; stan średni zajęty walką o byt, nie przyszedł jeszcze do moralnego samopoznania — a o wieśniakach mówić nawet nie można. Jedyna nadzieja byłaby w młodzieży, należącej do każdego z powyższych stanów — ale gdzie ta młodzież?

Dawniej, czytała ona ukradkiem Słowackiego i Mochnackiego — dawniej ilekroć się zeszła, mówiła o wielkiej naszej przeszłości, układając często szalone, lecz mimo to nie mniej szlachetne projekta na przyszłość — dawniej, na pogrzebie każdej wybitniejszej osobistości cmentarze roiły się młodzieżą — dawniej, słuchając głosu ojczyzny, spieszyła na bój krwawy, a chociaż niejeden z jej grona wiedział, że popełnia szaleństwo — szedł, bo mu tak honor i miłość kraju nakazywały. Wprawdzie dziś inna zapanowała atmosfera, a zamiast gwarnych demonstracji powinniśmy się raczej oddawać pracy spokojnej, lecz mimo to nie da się zaprzeczyć, że i wśród najżmudniejszej pracy nie powinno się zapominać o tem, co wzniosłe. Młodzież natomiast nasza tak się zasklepiła w powadze, że jej aż nie widać. Gdyby ta powaga była chociaż wynikiem pracy rzeczywistej i trzeźwego poglądu na życie! Ale niestety, ona jest tylko maską, ukrywającą prawie zawsze czczość i zobojętnienie. Młodzież zapomniała, że nie zimny filozof jest ideałem człowieka, ale mąż umiejący kochać rodzinę i kraj, mąż strzegący zarówno swego honoru jak i honoru swojej ojczyzny, mąż postępujący rozumnie, ale obok tego nie wyrzekający się szlachetnych porywów. Takim powinienby być każdy młody człowiek. Gdy młodzi zasiędą wespół ze starcami i w zimne zagłębią się medytacje, co będzie z krajem — gdzie przyszłość nasza?

Wśród tak smutnych okoliczności na najwyższe uznanie zasługują ci nieliczni, którzy od czasu do czasu przypominają krajowi, a przedewszystkiem młodzieży, że nieopodal są bracia nasi, którzy w ciężkiej jęczą niewoli, że miłość kraju powinna tkwić w naszem sercu i pamięci, i że mimo praktycznego kierunku, który w społeczeństwie zapanował i który jest dla nas koniecznym, nie godzi się zapominać o narodowych naszych nadziejach. Niech ich słowa cucą ospałych, niech przynajmniej czasami budzą tych, którzy nadto już spoważnieli.

Dziennikarstwo nasze powinno także o tem pamiętać. Gorącem słowem, umieszczanem choćby czasami w swoich łamach, większą narodowi odda usługę, aniżeli długiemi rozprawami nad niejedną drobnostką.

Medal na uczczenie pamięci pomordowanych włościan polskich, uważamy za jedną z tych spokojnych i wzniosłych demonstracji, których właśnie dla tego, że cisza dokoła panuje, więcej niż kiedykolwiek nam potrzeba. Jesteśmy pewni, że każdy Polak podzielając to zdanie, przyczyni się do urzeczywistnienia myśli naszego Wieszcza, któremu za ten czyn prawdziwie patrjotyczny zasyłamy staropolskie: Bóg zapłać!

SERCE I REKA.

Powieść prawie historyczna

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Genewa, jak wiele innych miast w Europie, które nie mają innego do życia wątku — wygląda cała na wielką gospodę. W pewnych porach roku, gdyby jej odjąć cudzoziemców — cóżby zostało? kilku zegarmistrzów i puste ulice.... Nie jest to miasto ani francuskie, ani włoskie, ani niemieckie, wszystkiego w niem po trochę; — godzi się tu z sobą co żyje... a kto ma wiele pieniędzy, może wygodnie chwilę życia przebałamucić... przeziewać, patrząc jak czasem odsłoniony Mont-Blac karmazynowym płaszczem się odziewa, słuchając jak jezioro mruczy....

Grand Hotel de Bergues, może, nie wstydząc się i bez wielkiego wysiłku, choćby książąt udzielnych przyjmować, ustaloną ma sławę i nie troszcząc się o nią — każe jeść jak podadzą, a płacić jak mu się podoba.

Tu jednego wieczora letniego, powóz obładowany kuframi przywiózł młodą panię, zmęczoną i bladą, ze starą służącą.... Za nim szedł drugi fiakr, w którym siedział rozparty, znudzony, kwaśny mężczyzna młody w towarzystwie jednego tłumoka i torby podróżnej. Oba powozy zatrzymały się przed hotelem, portjer uderzył w dzwonek, pierwszy kelner we fraku, z włosami misternie na łysiejącej głowie przedzielonemi, stawił

się u wrót, i rozpoczęły się układy o mieszkanie.

Sama pani nakazała dla siebie pokoje dwa z salonikiem dać na pierwszem piętrze.... Nadchodzący młody pan zażądał obok pokoju. Na nieszczęście nie było stosownego, o co pani nie musiała się troszczyć wcale, bo nawet nie spojrzała i nie przemówiła do tego jegomości, który zdawał się być jednak jej towarzyszem podróży.... Pani i służąca objęły natychmiast we władanie salon z którego balkoniku kelner ukazał widok na jezioro i góry; jegomość ów z torbą i kufrem zmuszony był powędrować na drugie piętro.

Oberkelner, znakomity znawca ludzi i charakterów, z pierwszego wejrzenia na młodego pana, nie mógł wszakże tak dalece wywnioskować nic o stosunku jego do pani z którą przybył, ani o położeniu jego towarzyskiem, iż uciekł się do trywialnego nader środka i przyniósł książkę meldunkową, prosząc o zapisanie nazwiska. Zdziwionym był nawet trochę zobaczywszy w niej potem Barona i Baronowę Wręby Dobińskich, jako męża i żonę.

Prędzej by się był zrazu każdego innego pokrewieństwa domyślał....

Przybywszy Baronowa zażądała dla siebie herbaty.... Na zapytanie czy ją mieć chce na dwie osoby, służąca odpowiedziała że pan Baron pić ją będzie u siebie — bo pani chora potrzebuje odpoczynku. Jakoż Baron został w swym pokoju na górze.... Zrazu padł porozpinawszy się na kanapę, zapalił cygaro, zadumał się — potem jął się przechadzać żywo, a twarz miał jak noc pochmurną. Naprzemiany zaciskał usta gwałtownie i ziewał nieprzyzwoicie.

Zdziwił się nieco gdy mu przyniesiono herbatę, o którą nie prosił, zżymnął się, ale zasiadł do niej, nie mówiąc słowa. Kelner, który ją podawał, począł się domyślać bardzo uczciwie, że pani musiała być słabą, i że dla tego mąż jest w takim fatalnym humorze. Spodziewał się nawet że go spytają o doktora — ale gość nie spytał o nic — żuł — jakąś biedę i chodził.

Był to, jak widzicie szczęśliwy małżonek Olimpji, któremu cała prowincja zazdrościła tego ożenienia... tak świetnego. Nikt by po nim nie poznał że tak był szczęśliwy.

Wypiwszy herbatę, wypaliwszy cygaro, popatrzywszy przez okno na uspokojone jezioro — Zygmunt zobaczył na zegarku że wcale jeszcze nie było późno — wieczór był piękny... samotność go nudziła... przebrał się więc na prędce i zszedł na pierwsze piętro. Przechodząc około pokojów żony zapukał... po chwili wyszła z siwą roztarganą głową i bardzo poważną miną Szafrańska.

— Co pani robi?

— Pani potrzebowała odpoczynku... i— zamówiła kąpiel... nie można się z nią widzieć.

To mówiąc Szafrańska stała w progu jakby wnijścia bronić miała, trzymając za klamkę. Zygmunt zmierzył ją oczyma gniewnemi od stóp do głowy.

— Proszę pani powiedzieć, że wychodzę na miasto... rzekł nakładając rękawiczki. Na to służąca nie odpowiedziała nic, ale wyraz jej twarzy zdawał się mówić — Z panem Bogiem! nic nas to nie obchodzi.

Szafrańska zatrzymała się dopóki go nie zobaczyła na dole i weszła nazad do pokoju, na klucz drzwi zamykając za sobą.

Olimpja siedziała w oknie na pół rozebrana, Szafrańska gotowała dla niej herbatę. Miała w ręku jakąś książkę w podróży jeszcze rozpoczętą, ale jej nie czytała; oczy błądziły po pięknym krajobrazie... Blada jej piękna twarz, od czasu wyjazdu z Zabrzezia i owego ślubnego wieczora, wymizerniała jeszcze, oczy opasywała ciemna jakaś jakby plama — usta zbielały, policzki zapadły, głęboki smutek i znużenie malowały się w rysach. Nie mogła się skarzyć na Zygmunta, lecz sama jego nie odstępna przytomność jej ciężyła. Mówili do siebie tylko tyle ile konieczność wymagała, w bardzo wielu wypadkach Olimpja za pośredniczkę używała Szafrańskiej, która przenosiła wolę pani i zgodzenie się posłusznego małżonka. Dotąd bowiem grzeczny i posłuszny nie sprzeciwiał się w niczem, nabijał jak najmniej, milczał i starał się dać o sobie zapomnieć. A jednak ile razy oko Olimpji choć przypadkiem padło na niego, odwracała się z obrzydzeniem i wstrętem i jakby jakąś obawą. Sama nie przemówiła doń ani razu; grzeczne posługi przyjmowała w milczeniu, unikając o ile możności wywołania ich i nastręczenia sposobności zbliżenia się.

Zaraz w Berlinie prosiła o osobne mieszkanie. Zygmunt przyszedł na rozmowę, — lecz znalazłszy ją milczącą upornie i odmawiającą odpowiedzi, musiał ustąpić. Zdawało mu się że droga dalsza nastręczy sposobność zbliżyć się, że pierwsze chwile tęsknoty, obawy przejdą, że samotność ją znuży, w ciągu jednak podróży nie zmieniła się nic. Olimpja patrzała w okno, czytała, odpowiadała głowy skinieniem, w najgorszym razie wyręczała się Szafrańską, — i tak dojechali do Genewy, a Zygmunt nie mógł się pochlubić ażeby choć na krok dalej postąpił. Nie naraził się, nie popsuł nic— lecz też i nie naprawił. To życie, przedłużone do nieskończoności zdawało mu się nie do wytrzymania. Szło o to jak wynijść z tego położenia, co począć??

Wybiegłszy z hotelu Zygmunt który niegdyś znał Genewę, poszedł wybrzeżem nad jeziorem... zbierając myśli i tworząc plany.... Co miał począć?? Czekać aż by Olimpja sama zlitowawszy się nad nim wyciągnęła mu dłoń, było trudnem, złamać pierwsze lody otwartą rozmową? mogło nie wiele pomódz a bardzo zaszkodzić.... Zdać się na losy? Wahał się tak i ważył, starając obrachować następstwa wedle danych, jakie mu nastręczał charakter Olimpji — ale do żadnego postanowienia nie przyszedł.

Położenie jego było upokarzającem, nawet w oczach nieznajomych ludzi, bo stosunek zimny państwa młodych musiał bić w oczy wszystkich....

Machinalnie tak przechodząc się bez planu, wszedł na wysepkę Rousse'a, i usiadł na ławce. Tu gwaru było dosyć i wiele osób przechadzających się. Wieczór dosyć gorący, zwabiał na lody.... Zygmunt zapalił cygaro i nie zważając na sąsiedztwo zadumał się tak, iż nie widział otaczających go osób. Pogrążony w tej zadumie, musiał rozpaczliwą fizjognomją zwracać wejrzenia przechodniów, bo mu z kolei kilka osób mocno się przypatrywało.... Jedna szczególniej pani, młoda jeszcze, wcale ładna, nie wielkiego wzrostu, okrąglutka blondynka, dobyła lornetki, popatrzyła nań, przetarła ją, zbliżyła się, przeszła raz i drugi... nareszcie stanęła uparcie zatapiając wzrok w Zygmuncie, jak gdyby własnym oczom wierzyć nie chciała, że go tu spotyka....

Zygmunt jakby jej nie widział, nie dał znaku życia... zatopiony był w planach zdobycia serca i łask żony.... Była to dla niego kwestja życia lub śmierci.

Blondynka z niebieskiemi mocno wystającemi ładnemi oczyma, choć już nie pierwszej młodości, świeża była i wyglądała pokuśliwie, pociągająco. W ruchach, w wyrazie lica znać było trzpiota, filuta, kobietę spragnioną wrażeń, której życie nie poprawiło.... Wielki znawca ludzkiej natury domyśliłby się patrząc na nią wielu — wielu przygód — chociaż śladu po nich nie zostało na tej pulchnej twarzyczce, na białych ramionach i błyszczących oczach ciekawych. Natura nie dała jej majestatycznej postaci, ani posągowych kształtów — odmówiła klasycznych form, lecz troskliwa matka obdarzyła ją za to wielą urokami... kolorytem wiecznej młodości... białością i rumieńcem piętnastoletnim, nóżką dziecięcia, rączką aniołka... i krągłemi ramiony i uśmiechem wyzywającym i usty jak dwa listki różane. Znać też było że w tej figurce zwinnej mieszkała dusza niecierpliwa, pełna fantazji, ognia pełna, i dowcipek szyderski i ciekawość — wszelkiego złego....

Jakim sposobem tak nęcąca osóbka mogła wieczorem sama jedna przechadzać się po wysepce, nie wlokąc za sobą adoratorów — było nie wytłumaczonem. Z ubioru znać w niej było jedno z dwojga, albo rozrzutną paryżankę bez jutra, która nie mając koszulki kupuje koronki — lub wielką panią nawykłą do zbytku.... Strój był na pozór skromny, lecz kosztowny i wytworny, a w nim najmniejszy szczegół zdradzał rozpieszczone stworzenie... które nie znosi nic pospolitego, nic trywialnego, nic bezmyślnie dosztukowanego.

Zacząwszy od torebki u pasa aż do rękawiczek, parasolika, trzewiczków, wszystko było od najpierwszych artystów, drogie, wykończone, kapryśne, dobrane i śliczne.

Jakim sposobem Zygmunt mógł tego motylka uwijającego mu się przed samemi oczyma nie zobaczyć, byłoby nie wytłumaczonem, gdyby mąż pani Olimpji, nie znajdował się w położeniu, które wszystko uniewinnia i tłumaczy. Piękna kobietka w końcu zdawała się obrażoną tą ślepotą, i zbliżyła się już wprost nachodząc na zadumanego.

Z uśmiechem przystąpiła doń i zawołała:

— Mr. Sigismond! Mr. Sigismond! budzę pana! w jakim kolorze! Co panu jest?

Jakby od postrzału zerwał się dopiero Zygmunt, wstał, wlepił oczy i niezmiernie zdziwiony, wykrzyknął...

— Pani, tu!!

— En chair et os! i sama jedna i znudzona — i chora! Od godziny studjuję

pana... i nie mogę zrozumieć.... Wszakżeś się pan ożenił... to wiadomo całej Europie! Z dziennika poznańskiego powtórzyły tę wiadomość niemieckie... najbogatsza w Księstwie dziedziczka.... I ożeniwszy się — jak w bajce z zaczarowaną księżniczką... siedzisz tu sam jeden na ławce z cygarem, jak człowiek zrozpaczony, który szuka grubej gałęzi, aby się na niej obwiesił.

Zygmunt stał jak obwiniony... nie wiedział jeszcze co odpowie, a różowy młynek pięknych ustek nie ustawał pytlować.

— Cóż pan tu robisz? sam jeden! osierocony, stęskniony, gdzież moja Olimpka? A! jabym tak bardzo widzieć ją pragnęła.... Wszak pan musiałeś choć słyszeć o tem, że myśmy kilka lat razem spędziły w Dreźnie, że jesteśmy prawie rówieśnice... tylko ja biedna o lat dziesięć — pardon, mais c'est comme cela, poszłam wprzódy za mąż, rozwiodłam się, spróbowałam pójść drugi raz i mąż mi umarł... i jestem wdową już, gdy ona dopiero rozpoczyna żywot jako młoda mężatka.... Ale mówże pan....

Zygmnnt dotąd przy najlepszej chęci z trudnością by był mógł słówko wcisnąć, bo piękna pani mówiła bez wytchnienia.

— Jakież to szczęście dla mnie że ja tu panią spotykam — odezwał się wreszcie podając jej rękę i nastrajając twarz aby kłamała.... Myśmy tu dopiero przed parą godzinami przybyli — Olimpja jest zmęczona drogą i trochę chora.

— A! już chora! a pan nie siedzisz przy chorej i włóczysz się po wyspach... to niegodziwie! Pan w kilkanaście dni (nie wiem czy i tyle upłynęło po ślubie) powinieneś stać u progu, klęczeć u jej łoża....

— Olimpja potrzebuje spoczynku i samotności!

To mówiąc spuścił oczy, piękna pani podniosła je i wlepiła w niego ironiczne wejrzenie.

— Dajże mi pan rękę — przecież to nie będzie grzechem przejść się z przyjaciółką serdeczną żony... bo należy wiedzieć panu żeśmy były jak dwie siostry z sobą. Ja bez niej, ona bezemnie obejść się nie mogła. Im większa między nami różnica charakterów, tem lepiej godziłyśmy się z sobą. Ona milcząca, mnie się usta nie zamykają... zważ jak to dla mnie było szczęśliwie....

To mówiąc pochwyciwszy rękę Zygmunta, pociągnęła z sobą nad brzeg jeziora, wzdłuż rodańskiego wybrzeża....

— Przejdziemy się trochę, powietrze teraz zaczyna być znośniejsze.... Pan mi opowiesz wszystko.... Ale naprzód, gdzieżeście stanęli, bo ja dziś jeszcze tę kochaną Olimpkę widzieć i uściskać muszę....

— Hotel de Bergues!

— Ale to i ja tam stoję! Co to jest przeznaczenie! A! jakże mnie to cieszy! już miałam znudzona jechać dalej... bom sama, wystaw sobie, wożę tylko koczkodana Angielkę jakąś, żeby mieć parawanik od natrętów... ale to mi nie zawadza... robię co chcę. Mów że pan... jak to było... ja dwa lata nie byłam w kraju... nic nie wiem... tylko żeś się pan z nią ożenił. Cóż to? czy konwenanse?

Wystrzeliwszy mu tak w same piersi pytaniem zuchwałem, hrabina Klara widząc minę zakłopotaną Zygmunta zaczęła się śmiać.

— A, przepraszam — poprawiła się przypatrując mu się złośliwie — je suis d'une indiscretion!! Ale, widzisz pan, mam do tego trochę prawa. Pan dwa tygodnie kochałeś się we mnie za życia nieboszczyka męża... a z Olimpją jesteśmy koleżankami... więc jesteśmy w domu, ze swemi, nie obcy i mogę się pytać bez ceremonji....

Zygmunt dziwnie zmięszany... uśmiechał się przymuszoną wesołością.

— Cóż bo ci jest panie Zygmuncie, zapytała hrabina Klara — albo cię tak małżeństwo nagle zmieniło w bardzo krótkim przeciągu czasu, lub są w niem tajemnice... których lękasz się odkryć przedemną??

— Tajemnic niema w tem żadnych. — odezwał się nareszcie Zygmunt — pani dwa razy przechodziła przez nowicjat stanu małżeńskiego, który się zowie tak niesłusznie miodowym miesiącem, znasz więc lepiej niż inni, że te chwile przedmowy do pożycia są trudne i nudne. Otóż my właśnie stajemy w tym progu....

— Tak — z którego się ludzie często na wieki rozchodzą nadąsani — dodała hr. Klara — o! wiem bardzo dobrze!! Widzę jednak że mnie chcesz zbyć ogólnikami — à la bonne heure, nie będę cię więc pytać o nic, dowiem się wszystkiego od Olimpki. I — może to być przyzwoitszem a łatwiejszem niż badać pana....

Zygmunt zdawał się namyślać głęboko— a hrabina dawała mu czas do postanowienia co miał począć. Szli zwolna brzegiem jeziora. Ponury wyraz twarzy Zygmunta, bądź co bądź w nowożeńcu nie zwyczajny, którego on pozbyć się nie mógł, widocznie intrygował hrabinę. W tej chwili małżonek pięknej Olimpji strwożony myślał o jednem tylko — czy towarzyszka i przyjaciółka jego żony, wiedziała — o wielkiej tajemnicy, którą on rad był ukryć przed całym światem.... Hrabina czytając w twarzy zakłopotanie, przypisywała je położeniu Zygmunta, którego się z charakteru Olimpji domyślała....

— Bądź pan spokojny, rzekła z cicha— nie chcę go męczyć więcej pytaniami niewłaściwemi. Mówmy o rzeczach obojętnych.... Długo zabawicie w Genewie? Czy jedziecie ztąd do Włoch? kiedy? jak?

— Prawdopodobnie, wypocząwszy tu nieco — odezwał się Zygmunt — zależy to zupełnie od Olimpji, do której woli ja się zastosuję. Ona nic jeszcze nie postanowiła.

— A! doprawdy... szczęśliwąbym była do was się przyczepić. Ja mogę jechać dokąd mi się podoba. Olimpkę kocham.. nudzę się sama i Angielką moją... a mogłabym być młodemu małżeństwu radami mojemi użyteczną.

Zygmunt z trwogą jakąś spojrzał na nią, rozśmiała się pokazując białe ząbki....

— Nie bój się pan — podchwyciła, nie przerwę wam upragnionego tete à tete! Chciałam tylko pana nastraszyć, za jego uparte milczenie.... A teraz, chodźmy do hotelu... ludzie gotowiby nas wziąć za parę czułych kochanków szukających mroku aby ich skrył od oczów zazdrośnych... i moja reputacja byłaby w oczach Szwajcarów na szwank narażoną....

Zaczęła się śmiać. Zygmunt milczał.... Cały zdjęty swem położeniem obrachowywał właśnie czy to spotkanie dla niego korzystnem czy niebezpiecznem być może?.... W tym nowym dlań świecie wśród którego się obracał i to było dlań zagadką. Zdawało mu się wszakże iż przytomność osoby obcej a poufałej, mogła Olimpję wyprowadzić z tego stanu apatji i smutku w jakim była od wyjazdu z domu. Roztargnienie, wstrząśnienie, przymus do wejścia w świat, i wyjścia na świat, mogły na nią oddziałać zbawiennie.

Odezwał się więc zwracając do swej towarzyszki.

— Przyznam się hrabinie, że choć taki milczący i nudny, w tej chwili jestem niewymownie szczęśliwy, a to z jej łaski....

— Par exemple? zapytała zdziwiona.

— Olimpja tyle lat przeżywszy w domu, tęskni po ojcu, po rodzicach, po Zabrzeziu, a ja nieumiem rozerwać jej i zabawić — dodał Zygmunt. Myślę że pani przyjdziesz mi w pomoc miłosiernie... a daleko łatwiej będzie jej to wykonać niżeli mnie, obawiającemu się narazić w najmniejszej rzeczy.... O nic tak nie proszę, jak żebyś ją pani rozbawić, wyciągnąć z domu, zmusić raczyła do wyjścia z tej tęsknej apatji.

— A! przyznam się panu że jeśli pan tego nie mogłeś dokazać!! przerwała hrabina Klara....

— Czyż pani nie widzisz swojej wyższości nademną?...

Blondynka słuchała, — odgadywała i uśmiechnąwszy się, rzekła w końcu....

— Chcę być pańskim pomocnikiem w dobrej sprawie, ale główno komentującym nie mogę. Olimpja za długo się tu samotnością dobrowolną męczyła, życie to stało się dla niej nałogiem.... Z nałogów nawet do szczęścia wychodzi się powoli....

Jest że w istocie chorą?

— Jest stęsknioną i zmęczoną....

— A! to ją rozbawiemy.... Chodźmy tylko prędko... i spuść się pan na mnie, że tę drogą przyjaciółkę będę się starała odżywić.... Młodość jej nie bardzo szczęśliwą. .. Przyznam się że przyczyn nie dobrze rozumiem... ale... zobaczymy... j'ai la meilleure volonté du monde....

Stanęli w progu hotelu.

— Prowadź mnie pan do niej — odezwała się hrabina....

Zygmunt trochę się zmięszał.

— Jakto? dzisiaj? teraz? Zdaje mi się że chciała być samą i nikogo nie przyjmuje....

— To nic, je serais sa garde malade....

To mówiąc wyrwała rękę hrabina, zapytała o numer i skinieniem głowy pożegnawszy Zygmunta, pobiegła do drzwi Olimpji.

Właśnie gaz zapalano w ciemniejących korytarzach — gdy zapukała do drzwi... Szafrańska wyszła z miną nasrożoną Cerbera pilnującego progu od napaści mężowskich, lecz wpatrzywszy się w uśmiechniętą, mało zmienioną, a z Drezna sobie jeszcze znaną twarz hrabiny Klary, krzyknęła chwytając ją za ręce....

— A! to pan Bóg tu ją zesłał! a! to dla nas szczęście prawdziwe. Cóż panna

Klara tu robi? (przez zapomnienie nazwała ją panną jak dawniej.) Usłyszawszy tę p a n n ę, hrabina rozpoczęła od serdecznego śmiechu....

— Szafrańsiu droga, od tego czasu miałam dwóch mężów, a kochających się kopami.... Puszczaj mnie... gdzie twoja pani! niech ją uścisnę....

I wbiegła jak burza szukając Olimpji, która byłaby jej o zmroku nie poznała gdyby nie głos....

— Klarcia! ty tutaj....

— Olimpjo moja! I rzuciły się sobie na szyję....

Szafrańska zapalała świece co prędzej, uszczęśliwiona.

— O! jakżem szczęśliwa! zawołała Olimpja... jakżem szczęśliwa....

— Ty... to nic — masz zapas szczęścia w domu, to tylko maleńka przyjemnostka, ale ja wdowa, samotnica... tyś dla mnie prawdziwem wybawieniem.... Chciałam się truć z nudów lub jakie wielkie głupstwo zrobić aby się potem martwić a nie nudzić.... Nuda to powolna trucizna... jak zaswędzenie przykra....

Mówiąc to przypatrywała się Olimpji z uwagą wielką i przestrach jakiś a zdziwienie malowało się na jej twarzy....

— Chodź tu bliżej do światła — rzekła prowadząc Olimpję i pilno w oczy jej zaglądając.... Tyś okropnie, okropnie zmizerniała! tyś doprawdy chora....

Olimpja smutno się uśmiechnęła i szepnęła głosem prawie niedosłyszanym:

— O! nie.. tylko... tylko tak jestem szczęśliwa....

Hrabina przerażona puściła jej rękę. Zamilkła i obejrzawszy się na kręcącą Szafrańskę — dała znać ruchem że na dalszą rozmowę poczeka....

Stara sługa znać domyśliwszy się że przyjaciółkom może być zawadą — spytała czy hrabina nie żąda herbaty i zabierała się do wyjścia....

Pani Klarze nic potrzebniejszem nie było nad wyjaśnienie położenia, wyrzekła się z chęcią herbaty i podziękowała za nią. Zygmunta zamyślenie, smutek i wynędzniona twarz Olimpji — napełniały ją ciekawością gorączkową.

— Moje serce drogie — chwytając za obie ręce przyjaciółkę i gwałtem sadząc ją w fotelu naprzeciw siebie, poczęła hrabina — siadaj... boję się żeby ci się słabo nie zrobiło — wyglądasz tak mizerna jakbyś nie od ołtarza, ale z choroby powstała....

Olimpja spuszczone miała oczy... słowo nie mogło jej się dobyć z piersi. Z tą trzpiotowatą ale dobrą i kochającą Klarą, były niegdyś jak dwie siostry. Ta przyjaźń dotrwała aż do chwili wielkiej katastrofy... Klarę rodzice właśnie wywieźli z Drezna, aby ją wkrótce potem wydać za mąż. Nie widziały się już później tylko gdy hrabina nie mogąc wyżyć z pierwszym mężem szła do rozwodu.... Spotykały się rzadko, bo Klara kręciła się po świecie, a tak była sobą, swem nieszczęśliwem sercem, swemi przygody zajętą, że los Olimpji o którym wiedziała, został dla niej zagadką.... Domyślała się łatwo iż rodzice może mimowoli wydali ją za Zygmunta, którego aż nadto dobrze znała a raczej przeczuła i nie miała dlań wielkiego szacunku — cała jednak ta historja Olimpji, budząca w niej wielką sympatję była jej obcą. (C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

S e w e r a...

III.

(Ciąg dalszy.)

Redżent-strit — któż mi zaprzeczy, że należy do najpiękniejszych w Londynie. Od Redżens-cyrkus, do Pikadylly — w wygiętym łuku jasny otwarty budynek, w oknach wystawy sklepów, na ulicy ciżba powozów, a na chodnikach miss'y. Może byłby i ktoś więcej, ale czy byłoby rzeczą przyzwoitą patrzeć na kogoś więcej, gdy są missy w okrągłych kapelusikach z *pince-nez* i bez *pince-nez* na noskach a czasami w okularach — blade i złotowłose missy jak Krymhildy, różowe i utoczone jak wasze Kasie, a uśmiechnięte jak wasze Jagusie? Sielanka w Londynie! a dlaczegożby nie wolno sielance przechadzać się po jego ulicach, jeżeli wolno wszystko wszystkim, — tem więcej, gdy sielance tak ładnie w różowym kapelusiku przybranym w dyjadem z kłosów i polnych kwiatów? Król-duch powiedziałby: „perły, jaśminy i maku korale." Właśnie dostrzegłem perlę. Perły, jaśminy i maku korale, lubię was, przypominacie mi smutną ojczyznę moją, lecz cóż wy biedne dziś tu robicie, jakaż wasza rola — stroić rondo kapelusza — gdy po za tem rondem.... przystanąłem, opieram się o ścianę, czuję że zbladłem, słyszę krew bijącą w mojem sercu, — kapelusz pereł, jaśminów i maków korali zbliża się, a pod kapeluszem długie ciemne rzęsy, powieki lekko chylą się na dół, a jeżeli podniosą się w górę, to aby odsłonić czarne oczy, spokojne i dumne, zabijające bez wiedzy morderstwa, świecące bez chęci oświecenia.

Miss, cóż ci zawiniłem, dlaczego powieki twoje podniosły się, gdyś mnie mijała?... — Mój maku koralowy, ozdobo naszych ogródków i opalonych twarzy naszych wiejskich pracownic, jakżeś dobrze zrobił, żeś się skrył za rondo kapelusza, bo pod kapeluszem na ustach królowej korale piękniejsze od wydobytych z fali morza,— kolor twój za słaby — a złote włosy spływające po ramionach kaskadą, gardzą wszelką niewolą, nawet kwiatka. — Płacz maku koralowy nad swoją urodą, jeżeli możesz; ja nie mogę, nie mam sił, jeść mi się chce, idę więc na objad ponury, — koniecznie ponury, aby obraz miał całość. Epoka romantyczna jeszcze nie skończona, wprawdzie wolno już bohaterowi być głodnym, ale ponurym być musi, nieuniknienie, jak fatum.

Ponury więc wchodzę do restauracji, ponury siadam przy stoliku, ponuro dysponuję kotlet barani i butelkę pell-ell, ponury wyciągam *Dziennik polski*, ponury rozwijam go i czytam.

Naprzeciwko mnie, przy tym samym stoliku, siedział młody dżentelmen; pewna niespokojność na twarzy, badawczość w oczach.... Lecz cóż mnie obchodzi dżentelmen, gdy mam w ręku *Dziennik polski*, —w nim artykuł wstępny o ciekawych sprawach krajowych i kronikę Lama?

Uśmiecham się, chociaż mi coś smutno i ciężko, wyciągam machinalnie rękę, biorę szklankę nalaną piwem — upijam część, stawiam znowu na stole i jeszcze nie skończyłem dowcipnej *kroniki*, gdy — domyślcie się piękne czytelniczki— fontanna, mało, potop, tak potop piwny zalewa mi oczy, krawat i kamizelkę. Zaledwie oczy zdołałem otworzyć, dżentelmen utkwiwszy we mnie wzrok, pokazuje mi pustą szklankę.

— To ja! — mówi poważnie.

— Ty! — zawołałem i porwawszy bułkę chleba, rozmiażdżyłem ją na głowie przeciwnika. Dżentelmen chwycił za karafkę z wodą, lecz jednocześnie odbiera chlebowy raz z boku. Pocisk mój, rykoszetując wpadł na talerz sąsiada, który go odrzucił mierząc prosto w głowę mego przeciwnika.

— A pan jakiem prawem mięszasz się do walki rozpoczętej między mną a tym dżentelmenem?! — zawołał w najwyższem uniesieniu napastnik.

— Jakiem prawem? zaraz będę miał zaszczyt panu to wytłumaczyć, — odrzekł spokojnie w sile wieku, energiczny w ruchach jegomość. Gdy się dwóch czarnych bije, chcąc przerwać walkę, najlepiej zaczepić z nich jednego. To samo w niektórych wypadkach może się odnosić do białych. Czy mnie pan teraz rozumiesz?

— Jakiem prawem? — tupiąc nogą, powtórzył gwałtownie dżentelmen-rycerz.

— Jakiem prawem?... zaraz to panu wytłumaczę — z tym samym spokojem odparł zagadnięty, zawijając sobie rękawy od surduta. — Takiem prawem, że na mój dziedziniec, chciałem powiedzieć na mój talerz, upadł z pańskiej winy pocisk; musiałem go przeto odrzucić, zkąd przyszedł. — Dżentelmen po tych słowach wstał, ciągle poprawiając rękawy.

— Z mojej winy? — powtórzył z przyciskiem mój prześladowca, odpinając mankiety.

Ja tymczasem obcierałem się po kąpieli. Służba stanęła w rzędzie opodal, patrząc z powagą na walkę dżentelmenów; — ani jednego słowa interwencji, ani mrugnięcia oka opozycji.

W tej chwili zbliża się do mnie obcy dżentelmen z następującą propozycją:

— Ci panowie między sobą się rozegrają, ja zaś mogę panu służyć w miejsce dżentelmena z którym miałeś zajście. O kilkadziesiąt kroków mieszka mój przyjaciel, możemy więc mieć i świadka, a z pewnością będziemy mieli ogród.

— Czy jest broń? — zapytałem, — zresztą — reflektując się dodaję: — my zdaje się nie mamy do siebie pretensji....

— Co do broni, to nosimy ją wszyscy przy sobie, — tu pokazał mi pięść zaciśniętą do boksu. — Sam pan przecież zostać nie możesz, a w każdym razie stawiam dziesięć przeciw jednemu, że w ośmiu starciach położysz się pan i powiesz: stop! (dosyć).

— Z pańskiej winy! — ciągnął mój obrońca z flegmą bretońską, lecz z postanowieniem nie ustąpienia ani kroku. — Dżentelmen był cudzoziemiec, poznałem to po formacie dziennika, który trzymał w ręku, śmiał się, bo pewno musiał czytać jakiś zabawny lub niedorzeczny proces, a pan zalałeś mu oczy piwem.

— Śmiał się ze mnie, a szukając wyraźnie zaczepki, wypił moje piwo.

W tej chwili garson przyniósł mi kotlet i butelkę piwa.

— Nie mogłem się śmiać, odpowiadam, nie widząc pana, a co do piwa byłem pewny, że piję własne.

— Ja nie jestem tak małym i nędznym, aby mnie widzieć nie można! — przerwał mi z gorączką dżentelmen.

— Panowie! o 150 kroków mam dom i ogród na wasze rozkazy — a odwracając się do mego napastnika, dodaje: gdy ser rozprawisz się z tym dżentelmenem, — tu wskazał ręką na mego obrońcę, — ja służę pańskiemu przeciwnikowi. Dla zaostrzenia walki, proponuję zakład.

Dżentelmen-napastnik z gracją kłania się projektującemu.

— Jeżeliby cudzoziemiec wypił moją szklankę piwa, — przerywa dżentelmen z zawiniętemi już rękawami, — w imię gościnności nalałbym mu drugą....

— Pan mi wymawiasz brak gościnności?¡ — zawołał napastnik.

— Cóż mnie obchodzi pańska gościnność, ja objawiam moje usposobienie.

Wydobywam z pugilaresu kartę, a rzucając ją na stół podchodzę do mego obrońcy....

— Przebacz pan, — zacząłem — ów nieszczęśliwy rzut, jeżeli napastowany potrzebuje prosić o przebaczenie.

— Raczej przyjm ser moje podziękowanie za rozrywkę. — Nudzi mi się w Londynie i sambym zaczepiał, gdybym nie gardził niesprawiedliwością.

Atakujący dżentelmen szuka gorączkowo w pugilaresie swojej karty, znajduje ją nareszcie, — wydobywa i rzuca zamaszyście, — zabiera ze stołu moją kartę — nie czytając chowa i odchodzi.

— Szkoda! — zawołał nieznajomy dżentelmen, sposobność rozrywki minęła, zakład upada, — poczem wraca do swego stolika.

— Siadajmy razem, — rzekł mój obrońca, — podpalony na brunatno z nastrzępionemi siwawemi brwiami, coby go robiło strasznym, gdyby nie rozbrajający srogość brwi dobroduszny uśmiech. — Będziemy mieli pojedynek, co w Anglji jest rzadkością. U nas zwykle zaczyna się od boksów i kończy na boksach — i byle prawa dobrze były zachowywane, nie ma niebezpieczeństwa.

— Jeżeli się ser nudzisz w Londynie i szukasz rozrywki, bądź moim sekundantem.

— Z radością przyjmuję tak zaszczytną propozycję, pod warunkiem atoli, że mnie o mej roli objaśnisz. Szkoda, że to nie boksy.

— Co do boksów, pomimo że szanuję tę broń, nie mam o niej pojęcia.

— Uczymy już czarnych używania tej broni i w krótkim czasie otrzymujemy zadziwiające rezultaty.

— Czy to zawód któremu się ser oddajesz?

— O nie, my to robimy tylko dla rozrywki i cywilizacji. Specjalnością moją dostarczanie broni palnej czarnym, zamieszkującym zachodnie brzegi Afryki i obuwia dla kopaczy djamentów na przylądku Dobrej Nadziei. Handel ten jest nader korzystny, bo pozbywamy się starej skałkowej broni, za zamianę produktów w naturze. Zarobiło się także coś na Aszantach... tu dżentelmen przymrużył lewe oko i uśmiechnął się lewą stroną ust.

— Jakim sposobem?—zapytałem zdziwiony.

— Czyjąż-to mieli oni broń, jeżeli nie naszą, za którą płacili kawałkami złota? Pozbyliśmy się wszystkiej prawie broni skałkowej. Sprzedać nieprzyjacielowi starą broń, aby go pobić nową, czyż to nie dowcipnie?

— Zadziwiająco! lecz jakąż miał opinję w tym względzie rząd królowej?

— Udawał że zabrania, udawał że blokuje, a myśmy udawali, że kontrabandujemy. Jeżeli my im nie sprzedamy, to pewno chciwe Jankiesy to zrobią, a nie oni to Francuzi, lub Włosi. Zresztą napadać na bezbronnych, Dżon-Bule do tego niezdolni — uzbroją przeto przeciwnika, a potem nad nim odnoszą zwycięstwo.

— Jeżeli ma czem za broń i amunicję zapłacić....

— A naturalnie, kto rozpoczyna przedsiębiorstwo bez kapitału, ten jest albo półgłówkiem albo oszustem.

— I bardzo sprawiedliwie, jeśli zostanie ukarany, w przeciwnym zaś razie będzie tylko wyzyskany....

— Samą loiką faktów. Handel jest probierzem rozumu narodów; wierzaj mi ser, ludy ciemne i leniwe zawsze są wyzyskiwane przez narody rozumne i pracowite, a jeśli my tego nie uczynimy, zrobią to za nas drudzy, byle tylko mieli więcej rozumu od tych, których mają wyzyskać. Naprzykład, dlaczego my nie wyzyskujemy Szkocji, a musimy wyzyskiwać Irlandję? bo Szkoci w cywilizacji stoją na jednej z nami wysokości, a Irlandja znacznie niżej. Szkoci zasypują nas swemi wyrobami, a my ich i jesteśmy w równowadze. Irlandja produkuje tylko kartofle, które zjada i wódkę; trzeba jej zatem posyłać to, czego nie ma.

— Czyby się jednak nie mogło obejść bez wyzyskiwań? — zapytałem.

— Przypuszczam, że się nie rozumiemy,— odpowiedział dżentelmen z uśmiechem—podstawą handlu jest zysk, nikt nie handluje bez zysku, różnica handlowych stosunków między jednym, a drugim krajem, daje ogólną sumę zysku czyli wyzyskiwań, które po pewnym przeciągu lat ubożą jeden kraj, a wzbogacają drugi. My, naprzykład wyzyskujemy Rossję, Austrję i Włochy, Rossja wyzyskuje Tatarów, Austrja Węgrów i Polaków, Włochy Tunis i Egipt, — a Polacy chociaż zawojowani, także Rossję.

— Sprawiedliwe stopniowanie, którego koroną Dżon-Bule! — zawołałem.

— Niech żyją Dżon-Bule! — Dżiorż! grogu. A teraz przypuść pan na chwilę, że Rossja i Austrja są najrozumniejsze z państw i najlepiej umieją się organizować, w celu podniesiesienia własnej produkcji. — Rządy ich, które stawiają rozwojowi niezliczone przeszkody, nagle zrozumiały, że utrzymanie wolności i porządku stanowi najszlachetniejszą opiekę nad ludźmi. — Powiedz ser, coby się stało wtedy z Anglją przy takich bogactwach, które *in natura* posiasiadają tamte kraje? Dżon-Bule trzodę by chyba pasły, jak Irlandczyki. No, no, tak źle by nie było — dodał uśmiechając się — jeszcze nam zostają cztery części świata i równowaga zamiany.

— Możecie zatem uzbrajać swoich nieprzyjaciół, aby tem świetniejsze odnieść nad niemi zwycięstwo.

— Brawo! — zawołał, dostawca broni. — Albożto przez 20 lat nie uzbrajaliśmy Moskwy, aby ją potem zmasakrować? — Czyż nas to mało kosztowało, rozumie się pracy i wysileń?

— Dodaj ser — a Moskali złota. Lecz dziś możeby zwycięstwo nie tak łatwo już przyszło, jak w 56tym roku....

— Bądź pan spokojny, cywilizacja i bogactwo rozwijają się w stosunku geometrycznym. Nie dość, że jakiś kraj organizuje się i dźwiga, niech on jednak nie zapomina układać proporcji swego postępu ze wzrostem drugich krajów, aby się przekonać, czy czasem w tym stosunku ten jego postęp nie będzie upadkiem. Dziś dla nas nie istnieją już twierdze moskiewskie — nie ma Kronsztadu. Widziałeś pan ostatnie nasze niemowlęta w Woolwich, śrubowane z czterech kawałów stali, rozpalanych prądem elektrycznym i proch, jak ziarnka grochu, wytłaczany w prasach hidraulicznych? Torysi nie próżnują i duma ich zasługuje na szacunek.

— Ależ panie, — przerwałem — Kronsztad cały zbudowany z granitu.

— Właśnie dlatego; kula wprawdzie nie przebije granitu, lecz czyż pan nie wiesz, że całe mury od jej uderzenia walą się, jak od trąb mury Jerycho? Dziś mury nie istnieją w fortyfikacji, przynajmniej nie powinne....

— Cywilizacja niszczy fortece, znosi granice — tak, że w końcu dziećmi z Woolwich, gdy odpowiednio dorosną, będzie można z brzegów Anglji bombardować Petersburg.

— *O yess dear ser!* jestem zachwycony twojem towarzystwem. Dżiorż! grogu! i gdyby teraz ten jankes chlusnął ci szklanką piwa w oczy to tak bym go zboksował, ażby go wynieśli. Wiesz, wielka idea przyszła mi do głowy: jesteś cudzoziemiec, ja się za ciebie wyboksuję!—Dżentelmen-dostawca powstał, stanął w postawie boksera, pokazując mi kilka szczególnych pchnięć, przywiezionych z Senegalu. — Nie ma tu kogo na Senegalskie pchnięcia? — zawołał. Szukaliśmy wzrokiem dżentelmena proponującego poprzednio zakład. Niestety, już go niebyło.

Wychodzimy. (C. d. n.)

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

ZA DNI NASZYCH,

skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Artur Grottger.

V.

Głucha noc zaległa nad ziemią. Blady księżyc z trudnością przedziera się przez chmur osłonę, aby oświetlić scenę pełną grozy najwyższej. Na pobojowisku leżą trupy. Kilka osób, które nie umieją poszanować spokoju umarłych i zwłok świętości, gnane niepohamowaną żądzą zysku, chociażby go nawet przyszło osiągnąć za pomocą najohydniejszego świętokradztwa, korzystając z nocy, przybiegły na miejsce gdzie w dzień zacięta toczyła się walka, aby coprędzej obedrzeć zabitych żołnierzy. Artysta nie pokazał nam twarzy tych nikczemników, bo widok ich musiałby w nas wstręt obudzić, czego sztuka unikać powinna. Po ich ruchach atoli poznajemy, że to złodzieje pobojowisk.

Beatrix odwróciła się od tego widoku, a artysta, którego prowadzi, przytulił się do jej ramienia patrząc na ten rozbój nocy z najwyższą grozą i oburzeniem...

— Czy to ludzie, czy szakale?! — woła przerażony nie mogąc zrozumieć takiej zbrodni.

Ten widok tak głębokie zrobił na nim wrażenie, że porzuciwszy swoją Beatrix, wrócił na chwilę do znanej nam pracowni, i tam na płótnie świeżo naprężonem, przed którem widzieliśmy go w głębokiej siedzącego zadumie, zaczął kreślić postać rozgniewanego Boga. Stwórca pełen majestatu podnosi rękę do góry, którą rzuci pioruny na głowy świętokradzców. Rysownik wpatruje się z namaszczeniem w Jego obli-

cze, i tak jest przejęty swoją kreacją że zdaje mu się iż słyszy głos Boga:

— O ludzkości, ty plemię Kaina!

Pochód przez dolinę łez nie skończony jednak. Genjusz ujął go znowu za rękę i wprowadził do izby, w której przed chwilą gościł nieprzyjaciel. Na ziemi leżą dwaj żołnierze — jeden ze sztyletem, drugi z rewolwerem w ręce. Dzikie było starcie — obadwa padli. Mimo że śmierć ich zmroziła, trzymają się jeszcze za ręce i piersi. Wieczny sen przejednał ich z sobą.

Pod ścianą w siedzącej postawie widzimy zabitą kobietę; do niej zbliża się dwoje dzieci, istne dwa aniołki, i na pół ze strachem, na pół ze zdziwieniem wpatrują się w bladą twarz matki, nie wiedząc czy ona śpi, czy może zemdlała. Za drzwiami widać właściciela tego domu, jak z dzieckiem najmniejszem na ręku spieszy do izby, w której żonę zostawił. Trwoga przejmuje go do głębi, bo oto już zobaczył leżących żołnierzy... A jakiego dozna uczucia, gdy przestąpiwszy próg postrzeże żonę zabitą, którą mu teraz drzwi zasłaniają!

Równie tragiczną scenę widzieliśmy w „Polonii.“ Podobieństwa jednak między niemi nie ma żadnego; układ tu zupełnie odmienny, nowy i jak tam skończony.

Człowiek stłumiwszy w duszy najdelikatniejsze uczucia, nie poprzestał na mordach, pożogach, zdradzie i świętokradztwie. Stawszy się gorszym od dzikiego zwierzęcia — targnął się w końcu na samego Boga i jego zbezcześcił.

Za artystą i jego genjuszem, wchodzimy do przedsionku kościoła. Przed chwilą byli tu żołnierze. Na krzyżu widzimy Chrystusa. Żołdacy obwiesili go ładownicami i szablami, a z boku poustawiali karabiny. U stóp krzyża stoją bębny, na nich leżą karty, obok dymi się fajka, a odkorkowana flaszka i kubek z kostkami uzupełniają obraz znieważenia Zbawiciela. Bo i cóż ich ten Bóg obchodzi! Oni w zbrodniach zaszli już tak daleko, że ta nowa wydaje im się najmniejszą... Cóż więc dziwnego że tu orgię wyprawiali. Artysta odwrócił się od tego widoku i pełen bolu niemego przyłożył rękę do oczu — a genjusz, który z poważnym spokojem szedł przez dolinę łez, widząc ten największy upadek ludzkości, zasłonił sobie twarz białą szatą na znak najgłębszej żałoby i poraz pierwszy konwulsyjnie ręce załamał...

Na karcie tytułowej całej „Wojny“, widzimy alegoryczną postać rycerza ze spuszczoną przyłbicą, który z pochodnią do góry podniesioną i z szerokim mieczem w prawej ręce, leci na rumaku przez pola, wsie i miasta, otoczony innemi duchami, z których jeden trzyma kosę, drugi ma na ręce kajdany, a inne z rozpuszczonemi włosami ruchami ciał i twarzy wyrazem zwiastują nieszczęście jakie na ludzkość spadnie. Oto symboliczne przedstawienie wojny, niosącej pożar, mord, niewolę i rozpacz... Na pierwszym planie spotykamy Grottgera samego, w towarzystwie kobiety, przypominającej późniejszą Beatrix. Widzą oni te mary, i z nastrojem spokojno-bolesnym, odpowiadającym sytuacji, czekają aż widma przelecą. Wielkość, oryginalność i wspaniałość uderzają na tym rysunku.

Tu kończy się „Wojna“, będąca ostatniem dziełem Artura Grottgera.

VI.

Spojrzawszy za siebie, widzimy, że nie małą przebiegliśmy drogę. Czterdzieści kilka kompozycji, rozdzielonych na pięć serji wytłumaczyliśmy wedle sił naszych, podnosząc przy każdej główne zalety, jak nie mniej wytykając znaczniejsze zboczenia. Uwagi nasze nie mogły być atoli wyczerpujące. Z umysłu unikaliśmy obszerniejszej oceny, aby nie odrywać słuchacza od wątku opowiadania. Dokonawszy zamierzonej pracy, zajmijmy się teraz bliżej talentem Artura Grottgera, określając stanowisko jakie on w sztuce zajmuje.

Nieraz zdarzało mi się słyszeć lub czytać:

— Grottger to nie malarz, ale poeta, który zamiast słowem, przemawia rysunkiem.

Nie wiem co ten frazes oznacza, a gdybym o jego wytłumaczenie tych zapytał, którzy go używają, prawdopodobnie nie umieliby mi odpowiedzieć.

Poetą musi być każdy artysta, a artystą każdy poeta. Poezja i artyzm to wyrażenia, które się nawzajem uzupełniają, tworząc jedną całość. Rozdzielić ich nie można. Poezja jest natchnieniem, artyzm jego formą. Forma bywa rozmaita. U jednego zowie się kadencją, u drugiego melodją, u trzeciego linią architektoniczną u czwartego kolorem i rysunkiem, a u piątego rysunkiem uwydatnionym przy pomocy kontrastu światła i cieniu. Grottger nie był malarzem w ścisłem słowa tego znaczeniu, gdyż nie używał farb do oddania swych myśli, ale ponieważ miał prawdziwe natchnienie i umiał rysować więc jest skończonym artystą. Malarzem może z nas być każdy; artystą nie zostanie nikt, bez wybitnego talentu. Jeżeli z drugiej strony zważymy, że nierównie łatwiej oddać kolorem to wszystko co się do natury odnosi, natura bowiem jest pełną kolorów, to nie da się zaprzeczyć, że artysta mający na swoje rozkazy tylko linię, cień i światło, nie równie trudniejsze ma przed sobą zadanie, a niżeli ten, kto człowieka, drzewo, niebo i wszystkie zjawiska natury może rzeczywistemi barwami uprzytomnić. Trudniej wlać życie w marmur aniżeli w płótno; trudniej ożywić człowieka kredą wyrysowanego, aniżeli tego, którego rumieniec i strój kolorowy zdobią. Ponieważ na wyobraźnię naszą więcej działają kolory niż same światło i cień, przeto przywykliśmy dawać pierwszeństwo malowidłom przed rysunkami. Ze stanowiska sztuki, sąd ten nie da się jednak usprawiedliwić. Rysownik-artysta stoi na równi z malarzem, artystą. Kartony Rafaela nie ustępują jego malowidłom.

Ilekroć mamy przed sobą jakie dzieło sztuki mierzymy najpierw skalę pomysłu kompozycji, następnie pytamy czy wykonanie pod względem charakterów ugrupowania i harmonji odpowiada pomysłowi kompozycji, a nakoniec poddajemy krytyce stronę techniczną. Kompozycja to myśl, wykonanie to zdolność uprzytomnienia myśli w jej duchowem i realnem znaczeniu, strona zaś techniczna to zwierzchnia szata, przyczyniająca się w wysokim stopniu do podniesienia całości.

Jako kompozytor i wykonawca swoich pomysłów, Artur Grottger jest genjalnym; natomiast jako technik nie jest bez stron ujemnych.

Dołożymy starań aby to udowodnić.

Powszechnie wiadomo, że nie wszystko co natura obejmuje, może służyć za temat dla artysty. W naturze widzimy strony dodatnie i ujemne. Wyszukać pierwsze, a drugich użyć niekiedy do podniesienia pierwszych — oto zadanie artysty. Ilekroć artysta nie może znaleźć w rzeczywistości stron dodatnich w całej pełni, powinien sięgnąć w dziedzinę fantazji, aby realne uzupełnić i podnieść. Wten sposób powstaje ideał. Kobieta istnieje w naturze, ale kobiety takiej jaką jest Madonna Rafaela nikt na ziemi nie widział. Artysta wziął istotę ziemską, ale przy pomocy twórczej fantazji tak ją uzupełnił i podniósł, że stała się ideałem kobiety, matką Boga — człowieka.

„W Warszawie“, „Polonii“, „Lituanii“ i pierwszych sześciu kartonach „Zimowych wieczorów“ Artur Grottger przedstawił nam walkę Polski z Moskwą. Na każdym z rysunków z których składają się serje powyższe, widzimy inną scenę, wszędzie patrzymy na walkę pełną najszlachetniejszego heroizmu, na bój szczytny gdyż więcej moralny jak fizyczny, na cierpienia wszystkich stanów, obojej płci i każdego wieku, słowem, na ciężkie przejścia całego narodu — a mimo to nie widzimy nigdzie nieprzyjaciół, tylko się ich domyślamy. Czy liczne te sceny są żywcem schwycone z rzeczywistości? Czy ich autor nie potrzebował stwarzać we własnej fantazji? Niobe, obok której nie widać Apollina zabijającego jej dzieci, jest ideałem matki bolejącej. Z dwudziestu sześciu kartonów Artura Grottgera, które mimo rozdzielenia na kilka serji odrębnych, tworzą jedną wielką kompozycję — powstaje ideał narodu cierpiącego. Walka narodu polskiego, jak każda walka ludzka, miała strony dodatnie i ujemne. Artysta schwycił tylko pierwsze, podnosząc je do niepospolitej potęgi — a drugie pominął milczeniem.

Jako kompozytor, w pierwszym okresie swojego talentu, Artur Grottger jest idealnym. W okresie drugim, w którym stworzył jedną tylko „Wojnę“ hołduje on co do pomysłu więcej kierunkowi realnemu.

Prócz artysty i jego genjusza, dwóch postaci prawdziwie idealnych, kartony „Wojny“ zapoznają nas ze scenami czysto ziemskiemi, które obudzają grozę, rzadko kiedy współczucie a nigdzie uwielbienie. Ludzkość widzimy tu w najwyższym upadku, w najwyższem rozprzężeniu. Mimowoli pytamy się, dla jakiej szczytnej myśli zabijają się te stworzenia, jaki wielki cel pragną osiągnąć przez mordy, łupiestwa, zdrady i kradzieże! Rozstrój staje się tak wielkim, że w końcu sam genjusz w rozpaczy załamuje ręce nie widząc nigdzie ratunku. W świecie niestety sceny podobne zbyt często się zdarzają. „Wojna“ jest genjalną kopją pierwszej lepszej wojny prowadzonej dla zaspokojenia kaprysu lub czczej formułki nazywającej się w XIX stuleciu *raison d'état*, kopją nędzy ludzkiej i tem samem pod względem pomysłu kompozycją realną. Jeżli mimo to ogół wyżej stawia „Wojnę“ aniżeli kartony przedstawiające walkę narodu polskiego, dzieje się to dla innych przymiotów, o których we właściwem miejscu pomówimy.

Aby nie powtarzać ciągle napisów pojedyńczych serji, będę odtąd nazywał „Warszawę“, „Polonję“, „Lituanię“ i pierwszych sześć rysunków z „Zimowych wieczorów,“ „Polską“ zwłaszcze że wszystkie te serje są właściwie jedną kompozycją.

„Polska“ rozpada się na tyle pomniejszych kompozycji, ile pojedyńczych kartonów, a te znowu tworzą trzy odrębne dramaty.

W sześciu scenach warszawskich, mamy sześć scen prawdziwie greckiej tragedji, w której potęgowanie uczuć jest głównym celem i zadaniem autora. Akcji tu nie wiele, genjalność polega w tem, że artysta pokazuje nam coraz nowsze i silniejsze postacie; a jak niektóre tra-

gedje greckie potrzebowały chórów aby być zrozumiałe, tak i tu potrzeba historycznego komentarza aby utrzymać wątek między pojedyńczemi kartonami. Sceny z powstania polskiego są już dramatem nowoczesnym, pełnym ruchu, życia, efektów i namiętności. Wątek między pojedyńczemi rysunkami większy, a więc i całość zrozumialsza. Powstanie litewskie jest jako dramat ludowy najwięcej wykończonym i zrozumiałym, ponieważ ma głównego bohatera, wiodącego nas przez cztery akty najważniejsze, którego niestety nie posiada ani „Warszawa“ ani „Polonia.“ Te trzy dramaty razem wzięte i uzupełnione sześcioma kartonami z „Zimowych wieczorów“, tworzą prawdziwą epopeję narodową, poczynającą się na pogrzebie pomordowanych w Warszawie, a zakończoną w minach syberyjskich. Oto epos prawdziwy, wielki poemat bohaterski, w którym widzimy naród na szczycie siły duchowej. W „Iliadzie“ Homera zwycięża podstęp i miecz — w „Polsce“ Artura Grottgera zwycięża wiara i duch!

„Wojna“ nie jest dramatem ani epopeją, gdyż brak w niej starcia namiętności, walki wzniosłej i szlachetnego tryumfu, za to jest ona udramatyzowaną pieśnią Jeremiego, opowiadającego upadek człowieka, gniew Boży i zburzenie Jerozolimy, liryką pełną prawdy realnej i potężnych efektów, a jeżeli ogół wyżej ją ceni jako kompozycję, niżeli „Polskę“, to głównie dla tego, że myśl przewodnia jest w niej plastyczniej uwydatniona, rysunek poprawniejszy a temat należy do wszechludzkich. Człowiek dzisiejszy nie lubi się zagłębiać w tajniki artyzmu, a gdy ma wybierać między treścią odnoszącą się do całego świata, a taką, która zaczerpniętą została z życia jednego tylko narodu — chętniej przyklaśnie pierwszej łatwiej ją rozumiejąc. Grottger rysował „Wojnę“ dla świata,—„Polskę“ głównie dla Polski. „Wojnę“ uznał też świat jako swoją własność i tem samem bardziej ukochał.

Chociaż za głosem krytyków zagranicznych poszedł ogół Polaków, mimo to pod względem wielkości kompozycji ośmielę się postawić wyżej „Polskę“ aniżeli „Wojnę.“ Wojna jest zrozumialsza, myśl przewodnia między pojedyńczemi scenami logiczniej nawiązana, technika tu prawie wszędzie znakomita, podczas gdy w „Polsce“ w wielu bardzo miejscach nie mało do życzenia pozostawia, ale za to „Polska“ świadczy głośno, że Grottger był pierwszorzędnym kompozytorem, z którym stanąć mogą na równi tylko autorowie prawdziwych dramatów i epopej narodowych. W „Polsce“ nie ma także najmniejszego naśladownictwa, tak tu wszystko samoistnie pojęte i wykonane — gdy tymczasem nie da się zaprzeczyć, iż pojawienie się w „Wojnie“ genjusza wiodącego oblubieńca przez dolinę łez, przypomina Wirgilego a później Beatricę oprowadzających Danta po piekle, czyśćcu i raju.

Nie chcę atoli przez to powiedzieć, by „Wojna“ była kompozycją na wskroś realną. Bynajmniej! Mimo realnych motywów, stała się dzięki idealnemu tchnieniu, jakiem ją autor ożywił — dziełem wyższem ponad wszystko co ziemskie, a miłość głęboka i prawdziwa dla ludzkości jaka z niej wieje, lubo bezpośrednio nie podnosi, przyczynia się jednak do podniesienia duszy w krainę ideałów.

Wszystko com dotąd powiedział, odnosiło się do ogólnych pomysłów; czas teraz przypatrzeć się, jak Grottger wykonywał swoje kompozycje. (C. d. n.)

ŻONA POLEGŁEGO.

Nowella

M. Jokai'a.

I.

Czterdziesty drugi bataljon i polskie krakusy sami zostali na polu bitwy.

Reszta uciekła.

Tylko jeden kapitan gwardji narodowej nie poszedł za pierzchającą kompanją swoją, ale odrzucił precz od siebie szpadę, pochwycił za walający się w pyle karabin i stanął w szeregach walczących jako prosty żołnierz.

I zabrzmiała rozgłośna pieśń, pieśń polskich żołnierzy:

Albośmy to jacy tacy, jacy tacy, jacy tacy
Chłopcy krakowiacy, chłopcy krakowiacy!
Czerwona czapeczka
Moja kochaneczka!

A wśród tego huczał grzmot dział i ciężki tentent koni i hurra wroga.

Coraz dalej, coraz dalej posuwała się garstka Polaków. Doścignięta przez nieprzyjaciela zwróciła się, dała ognia i z bagnetem stanęła do walki.

I znowu ruszyła dalej, spokojnie wyciągając swoją pieśń rozgłośną; a działa grzmiały, a tętniały kopyta i gwizdały kule.

Jeżeli ta garstka da się zgnieść, cała armja w niwecz pójdzie. To też ci dzielni wstrzymywali taki nacisk nieprzyjaciela, któremu dziesięćkroć większa liczba oprzeć by się była nie zdołała.

Walczyli aż do późnego wieczora; ran odnieśli dosyć, ale ani jednego zabitego jeszcze nie mieli.

Lecz oto uderza na nich nieprzyjacielska jazda ze wściekłym zapędem; pole bitwy napełnia się wrzawą, podobną do huku fal szturmujących o skały; ścierające się z sobą pałasze i bagnety zgrzytają i brzęczą, walczący podnoszą tumany pyłu, tylko wierzchołki chorągwi widać.

Kurz opada. Garstka dzielnych niezłamana posuwa się naprzód, napastnicza kawalerja odstępuje i cofa się za trębaczem dającym sygnał odwrotu. Pole bitwy pustką staje.

W błękitniejącej oddali widać jeszcze uciekające wojsko, podobne ciemnym obłokom, pędzącym po nad polami, a ściganym przez wiatry.

W stratowanej trawie pozostał tylko jeden człowiek. Konająca twarz jego zwrócona ku niebu, w zamglonem zwierciedle jego oka odbija się smutny, ostatni błysk dnia.

Po błękitnym dołmanie spływa purpurowa, gorąca krew; na świetne męską krasą oblicze schodzi chłodna bladość zgonu.

Jeszcze raz próbuje podnieść się z ziemi — ale napróżno: upada w tył a pałasz wysuwa się z bezsilnej jego dłoni.

— O Herminio!... — westchnął, wypowiadając imię ostatniej myśli swojej, i schyla się twarzą ku trawie, rozciągniętemi rękoma pałasza szuka i martwiejącemi usty „Herminio“ szepcąc — umiera.

To kapitan gwardji narodowej.

A w oddali po przez mroki nocne, dźwięczy coraz ciszej, coraz ciszej, rozgłośna pieśń:

Albośmy to jacy tacy, jacy tacy, jacy tacy
Chłopcy krakowiacy, chłopcy krakowiacy!
Czerwona czapeczka
Moja kochaneczka!

II.

Od przegranej pod Budamer upłynął miesiąc.

Naczelny wódz Madjarów stoi w Szemnitz, otoczony wraz z całą armją swoją przez nieprzyjaciela.

Z czterech stron próbował się przebić; ze wszystkich czterech stron zagrodzono mu drogę, nigdzie wyjścia.

Gdy poraz piąty o zwycięstwo się kusił, o mało sam na miejscu nie został.

Najdroższego przyjaciela przy boku mu zastrzelono; pod nim zabito konia.

Huzar przyskoczył doń, porwał go za rękę, pociągnął do siebie i gwałtem uniósł z pola bitwy.

Skoro przybył naczelnik do kwatery swojej, zwrócili mu oficerowie uwagę, że czako ma na skróś przebite.

On zdjął je z głowy i obejrzał: pomiędzy zapinką a kokardą kula ślad zostawiła.

— Dla czego nie o jedną linję niżej! — rozpaczliwie szepnął wódz i po tylu nużących dniach i nocach padł na twarde łoże, ażeby jeśli zdoła, zasnąć.

Około północy zbudził go dyżurny oficer, oznajmiając, że dama jakaś pragnie natychmiast z nim mówić.

Wódz wstał, i niepotrzebując się ubierać, bo spał zawsze w pełnym stroju, skinął, ażeby wprowadzono nieznajomą.

Zapowiedziana dama weszła do pokoju.

Suknię miała czarną, krepę na czarnym kapeluszu, twarz znękaną i bladą.

Jej piękna, szlachetna postać, poważne, regularne rysy, oczy ocienione gęstemi czarnemi rzęsami tak były wodzowi znajome!

Tak jest, przenikająca błyskawica tych dwojga czarnych oczu, alabaster tego czoła, te usta i oblicze, są to starzy dobrzy znajomi z dawno ubiegłych czasów — nowością tylko chmurna troska na twarzy i na czole pomiędzy brwiami długa, osobliwie głęboka zmarszczka, nadająca całej fizjonomji groźny i złowieszczy wyraz.

Wódz postąpił ku damie. Ona długo słowa przemówić nie mogła.

— To ty, Herminio! — zaczął wreszcie pierwszy; — ty, u mnie, w tej przeklętej chwili?

— Tak jest, i chcę mówić z panem — odrzekła chłodno dama, spokojnie siadając na fotelu, podanym jej przez wodza. On pozostał naprzeciwko niej, w stojącej postawie, z rękami na krzyż założonemi i wzrokiem tępo w nią wpatrzonym.

Twarz obojga była tak blada!...

— Arturze — zaczęła wreszcie dama, pełnym ale chłodno metalicznym głosem — dawno już, jakeśmy się nie widzieli. Tak dawno, bo od tego czasu gdyśmy jeszcze dziećmi byli i bawili się kwiatami... kwiatami wtedy... dziś życiem i śmiercią. Tyś się bardzo postarzał, ja bardziej jeszcze. Spojrzyj, jestem wdową...

— I moja żona wnet nią będzie — przerwał wódz z goryczą.

— Mąż mój poległ w bitwie — ciągnęła dama dalej — po dzielnej, uczciwej walce; nie uroniłam po nim łzy jednej, bo wiem za co dał życie. Zwłoki jego za drogie pieniądze wykupiłam; kiedy go pokrytego płaszczem do domu przyniesiono, drżałam, czy nie oszpecony przypadkiem? Może mu głowę odcięto, twarz pokaleczono potwornie? Nic z tego wszystkiego. Zostawiono go w całości. Każdy rys jego twarzy był

świadectwem, że padł męsko, jak bohater. Jedną miał tylko ranę i tę z przodu, na piersiach. Tylkom pierścionka mego nie znalazła na jego palcu, obrączki, którą włożył wtedy, gdy mnie przed ołtarz prowadził i odtąd nigdy nie zdejmował. Ledwo kilka dni temu, jak ten pierścionek na palcu innego człowieka zobaczyłam. Młody oficer od Kroatów stanął kwaterą w moim domu i na jego to palcu ujrzałam moją obrączkę.

— Może ją od któregc z żołnierzy swoich kupił?

— Nie. Powiedział mi, że zabrał ją człowiekowi, którego zabił.

— A ty, czyś mu nie powiedziała, że to był twój mąż?

— Bynajmniej. Jest to piękny, młody mężczyzna; blada twarz jego łudzi patrzących na niego pozorną łagodnością; matowe błękitne oczy jego nie zdradzają ognia, który w nim płonie.

— Zakochałaś się w nim?...

— On we mnie. Obsypał mnie pochlebstwami, wyznał mi miłość swoją, szaleje za mną.

— I ty chcesz wyjść za niego?...

— Chcę go zabić...

— Nie znasz się na tej sztuce, biedna kobieto!

— To prawda. Gdybym była miała siłę, dawno już byłabym zrobić to mogła. Stał przedemną, spał pod moim dachem. Potrzeba mi było chcieć tylko, a byłabym z łatwością we śnie go zabić mogła, ale wszystko naprózno. Nie miałam dosyć serca. A jednak chcę, ażeby zginął.

— Jeżeli jest dzielnym żołnierzem, nie długo na to czekać będziesz.

— Ale ja nie chcę właśnie, ażeby on jak dzielny żołnierz zginął; nie dla sławy, przezemnie umrzeć musi; nie na polu chwały, ale pod ciosem najokrutniejszej ze śmierci poledz musi — na miejscu tracenia zbrodniarzy.

— Biedna kobieto, boleść osłabiła twój rozum....

— Generale, byłeś dobrym przyjacielem mego męża! Arturze, jeżeli powiadam, że zemsty pragnę za wylaną krew mego męża, będęż szukać daleko mściciela?

— Herminio! przyjdź do siebie. Szanuję twoją boleść, męża twojego szanowałem i gdybym w tej chwili jakiejkolwiek jednostki mógł żałować, płakałbym nad jego stratą. Ale jakże możesz sądzić, że ja z całą mi powierzoną armją za jedyny cel wytknę sobie zemstę za kogoś, choćby to był mój najlepszy przyjaciel, mój ojciec — że poruszeniom wojska mego przewodniczyć będzie tylko myśl poszukiwania zabójcy twego męża, ścigania go i schwycenia? A gdybym go nawet i znalazł nareszcie, miałżebym jako honorowy żołnierz prawo do zamordowania innego honorowego żołnierza za to, że ten w otwartej walce kogoś, kto mi był miły, życia pozbawił? Ty możesz to zrobić, boś kobietą, żoną; ja nigdy, bom żołnierz i wódz.

— Masz mnie za obłąkaną, panie generale! — odparła dama, podnosząc wielkie czarne oczy. — Ja nie myślałam o tem bynajmniej, ażebyś tego człowieka miał szukać. Sama ci go przystawię. Sama się postaram o to, ażebyście mieli dostateczną przyczynę, prawnie i sprawiedliwie na mocy sądu doraźnego śmierć mu zadać. I chociażby nawet całego roku na przeprowadzenie planu mego potrzeba było, po roku w każdym razie doprowadzę go do skutku. Przywiodę wam tutaj tego człowieka i opowiem: tem a tem zawinił! Jeżeli wówczas wyrok sądu wojennego zapadnie w duchu moich pragnień, tobie pozostanie tylko szpadę nad nim złamać i o łaskę do Boga go odesłać. A potem, gdy będzie na śmierć szedł, powiedzieć mu: „Nie dla tej albo owej winy giniesz w ten sposób, ale przezemnie i za krew przelaną mego męża“ — to już byłoby moją rzeczą.

— O Herminio, jakżeś szczęśliwa tą nienawiścią swoją. Masz plany zemsty na cały rok... a my za rok gdzie będziemy? Kto z nas żywym pozostanie?

— Kto przestaje istnieć i czuć przestaje. Los taki mnie nie przeraża; przed śmiercią nie drżę, ale pókim żywa, zapomnieć nie mogę.

— Dobra Herminjo! Już dosyć mi naopowiadałaś o swoich cierpieniach, zostaw mnie teraz samego z mojemi bolami, o których nie lubię mówić. I ja mam także umarłych i to nie mało, a jeszcze więcej, wiele więcej mieć ich będę.

— Nie zostawię cię. Wiem o całem twojem położeniu. Otoczony jesteś i musisz albo się poddać, albo z całą armją zginąć. Przez trzy noce błąkałam się po obozie nieprzyjaciół jako markietanka, to jako wiejska dziewczyna, raz nawet w męskiem przebraniu. Wąwoz pod Szelakną tak armatami obsadzony, że połowę wojska byś stracił a przebić się tamtędy nie zdołasz, gdybyś jednak mógł baterje te obejść, dalej wolną już miałbyś przed sobą drogę, od tego bowiem miejsca aż do góry Branyiszko, ani jednego punktu nie obsadzono. A zaszedłszy tył baterjom strzegącym wąwozu, ledwo dwóch bataljonów piechoty i kilku sześciofuntówek przeciw nim byś potrzebował.

Wódz rozśmiał się gorzko.

— Powietrzem przejść, nieprawdaż?

— Nie, pod ziemią.

Dama wyrzekła te słowa tak poważnie, że uśmiech z ust wodza znikł.

— Tak, pod ziemią. Przypominam sobie, że w dziecinnych latach, gdym z małemi towarzyszkami te góry, rodzinne miejsca mojej matki, przebiegała, na boku góry często widywaliśmy głęboki podziemny tunel, przy którego wnijściu nieraz bawiliśmy się w chowanego. Pewnego razu psotne chłopcy zaczęli nas ścigać; towarzyszki moje rozprószyły się na wszystkie wiatry, ja zaś schroniłam się w otwór owego podziemia. Kilku chłopców pędziło tuż za mną i zmusiło mnie do postępowania coraz głębiej naprzód. Spłoszona pędziłam wciąż przed siebie; niskie ale dosyć wygodne przejście rozciągało się przedemną; ja coraz dalej w nie się zagłębiałam. Wrzask chłopców słyszałam wciąż za sobą, podwojony i przybliżany przez echa otaczających mnie skał, biegłam więc i biegłam bez odpoczynku, w ciemności, zatrzymując oddech, potykając się po odłamkach skał i bryłach ziemi. Ciemności i samotności bałam się mniej aniżeli moich prześladowców i dla tego nie zatrzymywałam się w biegu. Nagle wydało mi się, że widzę światło przed sobą... daleko... bardzo gdzieś daleko na przedzie błysnął promyk. Ku niemu podążyłam. Coraz bliżej, coraz wyraźniej lśnił ów ognik: słoneczny to blask na kształt złotej strzały wpadał w ten głęboki mrok podziemny. Po godzinnym prawie biegu wydobyłam się znowu na wolne powietrze, ale nie myślę żebym teraz tę samą drogę tak prędko przebyć mogła, jak wówczas popędzana trwogą.

Wódz z wytężoną uwagą słuchał słów damy.

— Kiedym na świat się wydostała, ujrzałam się w gęstym, dziko ciemnym, jodłowym lesie, z którego nie wiedziałam, jak się wydobyć. Usiadłam więc płacząc na wywróconem drzewie i tam znaleźli mnie robotnicy z kuźni i manowcem do wsi zaprowadzili.

— Nazwisko tej wsi?... przerwał niecierpliwie generał.

— Szelakna.

Twarz wodza zdawała się płonąć, oczy rzucały błyskawice, przystąpił do siedzącej przed nim kobiety, ścisnął ją za rękę, wziął w objęcia.

— Mów, mów dalej! — zawołał, a usta mu drżały z radości.

— Mój dziadek, profesor, któremu opowiedziałam to całe zdarzenie, zamiast jak się tego obawiałam ukarać mnie, zdawał się przeciwnie wielce uradowanym i o ile przypominam sobie zawołał tryumfująco: „Będzie to zapewne tak nazwana „ścieżka kuruców,“ którą Franciszek Rakoczy II. (w podobnem jak twoje obecnie położenie) otoczoną armję swoją z pomiędzy nieprzyjaciół uprowadził. Takie podziemne przejścia i gdzieindziej jeszcze się znajdują. Są to tak nazwane spadkowe szachty, których właściciele, mieli prawo do dziesiątej części dochodu, ze znajdujących się powyżej nad temi tunelami kopalni, z których woda tędy odchodziła. Gdy jednakże nowy, głębszy jeszcze szacht gdzieś w górze wykopano, właściciele dawniejszego dochód swój tracili, a więc i źródło jego wnet zaniedbywali i puszczali w zapomnienie. Może być także, że jest to opuszczony jaki rudnik“.

— Czy sądzisz, że oprócz ciebie żadna żywa dusza tunelu tego nie zna?

— Otwór — zna — ale tego nikt nie wie że tą drogą wyjść można na drugą stronę góry, — przeciwny bowiem otwór tak zarósł i zasypany został gruzem, że z zewnątrz nawet domyśleć się go niepodobna. Dziadek mój z pewnego rodzaju zazdrości, tak często zdarzającej się u ludzi uczonych, odkrycie to do zgonu w tajemnicy zatrzymał.

— Mogłabyś mnie do tego miejsca doprowadzić?

— Przyszłam tu po to. Nie dla udręczenia cię memi skargami, ale dla uratowania przybyłam. Pójdź ze mną.

Dama otuliła się swoim płaszczem; wódz przypasał szablę. Dwaj służbowi oficerowie szli za niemi w oddali z płonącemi pochodniami. Oni postępowali milcząc wśród nocy zimowej.

Ziemia była biała, niebo czarne. Wkoło po wrzawliwej bitwie, głucha zaległa cisza.

III.

Pewnym i spokojnym krokiem wiodła wdowa wodza na przyrzeczone miejsce.

Szli obok siebie, pospiesznie, ponuro; cała rozmowa ich składała się z pojedyńczych, urywanych słów.

Na jednym z zakrętów, ona zatrzymała się, odebrała towarzyszącym oficerom pochodnię z rąk, i wziąwszy jedną z nich sama, a drugą wręczywszy wodzowi, skinęła na oficerów, że wracać mogą.

Wódz spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

— Nie chciałabym, szepnęła, ażeby ktokolwiek dowiedział się o tem wyjściu, dopokąd ty bezpiecznym nie będziesz.

— Ależ... to są moi najzaufańsi ludzie...

— Ja nikomu nie dowierzam.

— Jednakże... ty... kobieta sama ze mną...

Wdowa popatrzyła ze wzniosłą boleścią na wodza.

— W tej czarnej sukni! odrzekła z westchnieniem.

— I w takiej czarnej godzinie, dodał wódz

Po tych słowach ruszyli sami, w głąb' doliny, sunąc jak cienie pomiędzy drzewami pokrytemi zmarzniętym śniegiem, przez pustynię białą, bez śladu i ścieżki, — wdowa przodem a wódz za nią. Chwiejący się płomień pochodni rzucał dzikie światło na ich ponure twarze.

W kotlinie pomiędzy skałami, wyrąbane w twardej ścianie góry czerniało wpuszczone wejście do kopalń. Dzikie krzewy gęstą siecią zasłaniały otwór, mchy i trawy ciemnozielone pozatykały najmniejsze szczeliny, broniąc wstępu nawet promieniom słońca. Co więcej śnieg białym wałem go zastawił. Dostali się jednak. Wchód był wyższy nieco od wzrostu zwyczajnego człowieka, boki miał układane w ukos, jak odrzwia egipskich budowli, sklepienia wzmocnione belkami.

Wdowa wstąpiła pierwsza w podziemie, odgarniając piękną białą ręką, tamujące drogę krzewy....

Wódz szedł w ślad za nią. Przez zapuszczoną zasłonę wdowy błyszczały wielkie jej ciemne oczy.

— Podziemie jest nieco zaniedbane i zapuszczone — rzekła, trudno się przez nie przedostać. Ale kto ma tyle rąk na rozkaz jak wy, w ciągu kilku godzin oczyścić je może. Dosyć tu nawet miejsca i dla armat.

I wchodzili coraz głębiej we wnętrzności ziemi, przodem dama w czarnej sukni z płonącą pochodnią, za nią wódz w szarym płaszczu. W wielu miejscach dawało się czuć takie gorąco, jak w duszne południe letnie; gdzieindziej znowu szumiała podziemna woda, jak deszcz ulewny i spadała kroplami gęstemi ze sklepienia. Suknie naszych wędrowców przemokły do ostatniej nitki.

W środku podziemia trafili naraz na studnię szachtową. Była to niezmierna czeluść, kształtu studni ciągnąca się w górę, do niezmiernej wysokości, bo aż do samego szczytu, gdzie otwór jej czworokątną gwiazdą się wydawał, i w dół schodząca na sta sążni w głąb' kruszczodajnych wnętrzności ziemi; windy i bloki ciężkie, za pośrednictwem których wyciągano rudę z głębi ziemi, lub transportowano ją na zewnątrz — znajdowały się jeszcze koło tej studni.

Otwór jej czerniał tuż obok drogi, którą szli nasi wędrowcy.

Dama spojrzała i wstrzęsła się.

— Przechodząc tędy pierwszy raz, szepnęła, nie postrzegłam nawet tej przepaści, — a jakżeż łatwo mogłam się w nią stoczyć!

O kilka kroków dalej strumyk przecinał podziemny korytarz.

— I tego także nie było, rzekła znowu wdowa, zapewne odprowadzano go dawniej kanałem jakimś; dzisiaj kanał ten zniszczony — i potok przebił sobie tędy drogę.

Wahała się przejść przez wodę. Wódz wziął ją na ręce, ona pochyliła się na jego barki.

Twarze obojga były tak ponure, tak blade.

Kiedyś — dawno już temu — przy podobnej okoliczności nie byli tak bledzi — jak dziś w tej czarnej sukni i w tej czarnej godzinie.

Po za strumykiem postawił wódz wdowę znowu na ziemi. Wkrótce doszli do wyjścia z podziemia, które całkiem zasypane było. Wódz musiał wiele ogromnych kamieni odwalić z drogi, nim się na zewnątrz wydobyć zdołali. Wyszli nareszcie i znaleźli się w pośród dzikiego, ciemnego, jodłowego lasu. (C. d. n.)

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Po obiedzie uściskawszy i pożegnawszy kolegę, który za swemi interesami poleciał, poszedłem odwiedzić Fredrę mającego kwaterę naprzeciwko tej restauracji u brata Maksymiliana, byłego generała. Henryk mnie namówił, żebym poszedł z nim z wizytą do brata. — Maksymilian, człowiek wielkiego świata, najmilszy w towarzystwie, miał za sobą rossjankę, Gołowinównę, bardzo brzydką, ale wielkiego rozumu i najmilszej konwersacji kobietę. Mówiąc z nią, zapominało się o jej urodzie, bo każdy musiał być zachwycony jej wielostronnemi wiadomościami i uroczą rozmową, którą każdego zniewolić umiała.— Mieli dwa piętra, na pierwszem sami mieszkali; drugie było do dyspozycji krewnych i przyjaciół. Maksymilian wiedząc o mojej zażyłości z Henrykiem, proponował mi, żebym do końca urlopu do niego się sprowadził i bywał zawsze na objedzie i herbacie, ile mi na to czas pozwoli. Na drugiem piętrze stał także, czyli raczej leżał Edward Fredro, ranny w udo, który z natury najniecierpliwszy z ludzi, dokuczał bratowej tak, że ta nieraz gorzkiemi zalewała się łzami. Moskiewka z rodu i przekonania, katoliczka w duszy, miała tyle taktu, że nigdy nie obraziła słowem najwięcej egzaltowanych patriotów, a polecony sobie z wielu innemi damami stolicy nadzór i opiekę nad szpitalami wojskowemi, z wielkiem poświęceniem się i zaparciem wykonywała; dla każdego rannego znalazła zawsze słowo pociechy i sposób ulżenia w cierpieniu. Była też wielbioną w tych smutnych zakładach.

Sprowadziwszy się w wieczór, jużem tam nocował, a na drugi dzień byłem na objedzie, na którym się także znajdował generał Teodor Szydłowski, zwykle w Warszawie le comte Theodor zwany. Wracał z Brzezin, dokąd był wysłany przez naczelnego wodza, ażeby odebrać dowództwo korpusu generałowi Umińskiemu i oddać je generałowi Jankowskiemu. Dosyć niedelikatnie wyrażał się o moim generale, co usłyszawszy, poczerwieniałem ze złości i chciałem wstać od stołu, co zobaczywszy Maksymilian wziął za rękę Szydłowskiego, prezentując mu mnie jako adjutanta Umińskiego; Szydłowski zmienił konwersację i między innemi powiedział, że Umiński jest już w Warszawie i że stanął w Hotelu Rosengarta.

Jak Szydłowski wyszedł, zapytał mnie Maksymilian, co mnie za mucha ukąsiła, żem się chciał przed końcem obiadu zerwać. — Na to mu odpowiedziałem, że mnie wyrażenia się o moim generale przez Szydłowskiego oburzyły, żem chciał natychmiast udać się do komisji Rządowej Wojny, tam podać o dymisję, i jako obywatel galicyjski wyzwać go i oczywiście zabić. Starał się mnie udobruchać Maksymilian i jego żona, co im się na końcu udało. Zaraz potem pojechaliśmy z Henrykiem do Rosengarta, gdzie zastaliśmy Generała, adjutanta Kalksteina i Zakrzewskiego. Ucieszył się naszym widokiem, uściskał nas obudwóch. „J'espére que vous resterez avec moi; car la disgrace du Général en chef ne peut pas durer. Il me serait trés desirable d'être privé de Votre entourage; nous savons les uns et les autres ce que nous valons." Użalał się potem na niewdzięczność porucznika Niemirycza adjutanta swego, z tego samego co i ja pułku że nie chciał dzielić jego losu, tylko przy Jankowskim pozostał. Dał nam także rozkaz, żebyśmy go codzień koło 11 godz. odwiedzali dla zasięgnienia wiadomości. Mieliśmy jeszcze pozostać, gdy nadjechali do Generała, Wincenty Niemojewski, przyjaciel jego, półkownik Kołaczkowski i Prądzyński, więc niechcąc przeszkadzać pożegnaliśmy Generała i pojechaliśmy do naszej kwatery, zkąd zaraz donieśliśmy szefowi sztabu Brezie, że przy Generale w Warszawie zostajemy z prośbą, żeby nam konie i ludzi tu przysłać kazał — co też następnego dnia zaraz z rana nastąpiło. Maks: Fredro prosił mnie, żebym w jego domu na kwaterze pozostał, co też z chęcią uczyniłem, ulokowawszy konie nasze w domu naprzeciwko. Odtąd zostaliśmy w Warszawie bez czynnej służby, używając przyjemności na jakie się w owym czasie zdobyć mogła.

Przybył do naszej kwatery adjutant Naczelnego Wodza, Włodzio Rozwadowski, siostrzeniec Maksymiliana, i tak we czterech z rannym Edwardem zajmowaliśmy całe drugie piętro, i prawie codzień schodziliśmy się na objad do Maksymilianów; oprócz nas zawsze było jeszcze po kilku innych gości, częścią z wyższego towarzystwa warszawskiego, częścią wyższych oficerów moskiewskich, którzy jako jeńcy w Warszawie przebywali. Między innemi bywał dość często pułkownik kirasjerów Kcia. Albrechta, ogromny chłop strasznie się wstydzący, że mu 25go lutego tak haniebnie pułk pod Grochowem rozbili, także jakiś podpułkownik piechoty, Kurlandczyk, ranny w głowę, bardzo wykształcony i miły w towarzystwie.

Na drugi dzień około 11ej byłem u Generała. Opowiadał mi, że był u Naczel. Wodza, z którym miał bardzo niemiłe zajście, o krzyże dla swoich adjutantów, których gdy mu odmówiono, uniósł się i wyzwał Skrzyneckiego na pojedynek. Skrzynecki jako bardzo religijny człowiek uznawał, że pojedynki nie są chrześcijańską zabawą, ale nam krzyże akordował. Stał on wtenczas na Pradze, czekając, żeby wszystko co tyle ucierpiało pod Ostrołęką mogło się zorganizować, i dopiero wtenczas na czele jego wejść niby tryumfalnie do Warszawy.

Następnego dnia dostałem rozkaz od Generała, żeby pojechać na Pragę i odebrać ze sztabu nasze patenta. Długo tam musiałem czekać, nudzić się i łazić od Ananasza do Kaifasza nim mi te nieszczęśliwe patenta wręczono. Wróciwszy około 5tej wieczór do kwatery Umińskiego, zastałem tam moich kolegów. Generał po mowie, jaką miał do nas (bo do mów miał wielką pasję) poprzypinał nam krzyże a do mnie rzekł, „że wpierw nie umrze, póki mnie nie zobaczy na czele pułku huzarów". Przyszłe wypadki nie dozwoliły żeby się jego życzenia spełniły. Ojczyzna nas opuściła,—Umiński umarł prawie w nędzy we Francji, a moje pułkownikowstwo przepadło. Zatrzymał nas u siebie na objedzie, gdzieśmy nasze krzyże oblewali; poczem poszliśmy we trzech (bo Zakrzewski był słabym i złym kompanjonem) do jakiejś lichej i jak się okazało nieprzyzwoitej szynkowni, gdzie zastaliśmy mnóstwo oficerów, z którymi — i ich damami całą noc przepiliśmy i przetańcowali

Kto nie doświadczył, nie może mieć wyobrażenia, jaką radość sprawia na młodym człowieku dekorowanie, jeżeli jest wewnętrzne przekonanie, że się je nie przez łaskę i protekcję,

ale przez prawdziwą zasługę i poświęcenie otrzymało. Takie było nasze położenie, dla tego niech się nikt nie dziwi szałowi jaki nas ogarnął. Po tych wybuchach radości, życie nasze w Warszawie przybrało tryb spokojniejszy, ponieważ pułk w którym służyłem (świeżo zebrany i dobrze umontowany) przybył na służbę do Warszawy i służba się zaczęła.

Krótki czas naszego formowania się w Lublinie, nowe szwadrony cośmy do niego dostali, i ciągła służba paromiesięczna w przedniej straży korpusu, nie dozwoliły, ażeby jednostajność i precyzja w służbie zaprowadzoną była; więc przyszedłszy do stolicy co dzień rano odbywaliśmy mustry szwadronowe, dywizjonowe i całego pułku. Młodzi oficerowie, po większej części synowie obywatelscy, z duszą i sercem pracowali, a żołnierze dumni ze zwycięstwa pod Stanisławowem nad brygadą huzarów moskiewskich, z tęgiemi już minami, co dnia robili postępy w manewrach.

Nie mając innego zajęcia, co dzień o 5tej rano jechałem do pułku, który stał w koszarach gwardji huzarów moskiewskich, zastępowałem miejsce którego z kolegów, chcących się od służby uwolnić i do 9tej maszerowaliśmy zazwyczaj. Poczem jechałem do kwatery, gdzie umywszy się i przebrawszy szedłem do Generała, gdzie najczęściej krótko bawiłem. — Wróciwszy na Miodową ulicę, szedłem do Dyzmańskiego*) pod kolumnami na schadzkę wszystkich tak zwanych malkontentów.

Zazwyczaj tam schodzili się les habitués jako to: Maks. Fredro, — były naczelny wódz Michał Radziwiłł, jego brat Ludwik, pułkownik kwatermistrzowstwa Żwan, pułkownik Wołłowicz, stary pułkownik Szitz, czasem (ale bardzo rzadko) Umiński, Henryk Fredro, Kalksztein, i gospodarz tego domu Dyzmański.

Procedura była zwykle taka. Jak się zwykle poschodzili, stawiano wanienkę z lodem i kilkoma butelkami szampana, tudzież bańkami salcerskiej wody. Dwa pokoje w tyle sklepu elegancko umeblowane, z wygodnemi sofami, parę stołów machoniowych, ładny i dobry fortepian, a koło niego kilka krzeseł, cały sprzęt formował. Posadzka lakierowana szkliła się jak zwierciadło. Dyzmański często sam usługiwał i poprzedzając garsona, wnosił na stół ogromny rostbiff, za jego przykładem drugi niósł prześliczne warszawskie bułki i chleb. Jak do stołu grono zasiadło, garsoni zaraz znikli. Dyzmański odkorkowywał butelki, inni wino wodą salcerską rozpuszczali i powoli zaczęliśmy ciągnąć z kieliszków. (C. d. n.)

CZTERY STROFY

z

„NAMOUNY"

ALFREDA DE MUSSET.

Och! Przepaść bliziutko... zakryta kwiatami —
Kochanka siostrzane przywdziewa oblicze,
Przychodzi pieszczona z uśmiechem a łzami
Na ucho piosenki szczebiotać słowicze.
I ciało tak słabe i roskosz tak mami
I taki raj wieszczą jej ustek słodycze.

Początek powabny! lecz nie chciej, o młody,
Obietnic głoszonych dowierzać gawędzie!
Miast pieszczot szyderstwo, miast rajów zawody,
Kwieciste otchłani skrywają krawędzie —
I lepiej Letejskiej czerpnąwszy gdzieś wody,
Wiek cały w półsennym przedrzemać obłędzie.

Tak! Drzemać! Spać ciągle! Przez marzeń firanki,
Przez złudzeń od świata dzielącą oponę
Nie dojrzysz skaz żadnych na licach kochanki;
Jej serce wciąż wierne, bo tylko wyśnione —
Poleci wraz z twojem za ziemi tej szrarki,
Gdzie przesyt nieznany, w wieczystych wiosn stronę.

Och! gdyby spać ciągle! Och! gdyby raz we śnie,
Za lubem widziadłem w roskosznej pogoni,
O ściany się klatki nie trącać boleśnie,
O mury istnienia nie krwawić swej dłoni.
O! gdyby jak głód ten, co wita zawcześnie
I serca pragnienia odurzyć w snu toni!

Naśladował

J. Chamiec.

POGADANKI.

VI.

Im dawniej, tem lepiej miało być na świecie: zapewniają nas o tem moraliści i satyrycy wszystkich wieków. Nie masz między nimi takiego, któryby nie twierdził, że na sto lat przed jego urodzeniem ludzie byli zdrowsi, roślejsi i rozumniejsi, dobrobyt ich bardziej kwitnącym, a obyczaje więcej wzorowe, niż za jego czasów. Psując się tak z roku na rok, ludzkość miała już aż do naszych dni niezmiernie wiele czasu, by upaść jak najniżej. Najdoskonalszą musiała być wówczas, gdy mieszkała w lasach, nie używając odzienia i nie znając ognia, jadając zwierzynę surową bez soli, i rozmawiając na migi, jak twierdzi gramatyka, z której nas starszych uczono po polsku. Najnędzniejszą przeciwnie jest ludzkość obecna, zwłaszcza w Europie, im dalej posuniemy się ku zachodowi. Każdy człowiek moralny powinien wierzyć silnie w ten pewnik, narzekać na swoje czasy, a wzdychać do przeszłych. Komu by się zaś udało cofnąć społeczeństwo choćby o parę wieków, ten byłby oczywiście reformatorem zasługującym na pomnik za życia, i na kanonizację po śmierci.

Napomknąć tu muszę, że niektórzy antropologowie i historycy, bardziej od wieku swojego zepsuci, innego są zdania. Twierdzą, że ludzkość doskonali się owszem, z biegiem czasu, pod względem moralnym i intelektualnym, a pod względem fizycznym nie upada. Mierzą szkielety pokoleń zalanych ongi potopem, i dowodzą, że nie ustępujemy co do wzrostu i siły naszym przodkom. Wydobywają na jaw świadectwa współczesne zamierzchłym wiekom, i odkrywają w nich szczegóły, które obyczajów przeszłości nie stawiają bynajmniej w korzystnem świetle, jeżeli je porównamy z dzisiejszemi. Nie wspominam tu o poganach, których pojęcia etyczne tak były sprzeczne z prawidłami, przez nas za święte uważanemi. Nie. Sam ów lud wybrany starego zakonu, i dziejopis jego Mojżesz miał zapatrywania się, któreby dzisiaj były cokolwiek więcej niż liberalnemi. Wiemy z najpoprawniejszego wydania Biblji, że małżonka patryachy Abrahama, Sara, na dworze króla egipskiego odgrywała przez dłuższy czas taką samą rolę, jak markiza de Pompadour na dworze Ludwika XV; wiemy także, że syn patryarchy Jakóba, Ruben, dał pewnego razu w zastaw swój pierścionek wśród okoliczności, które są cechą życia nad wszelki wyraz wyuzdanego — co zaś najfatalniejsza, to, że ani patryarcha Abraham, ani dziejopis i prawodawca Mojżesz nie zostawili po sobie śladu, by ich gorszyły zajścia tego rodzaju. Jeżeli od dziejów powszechnych przejdziemy do naszych własnych, spotkamy się począwszy już od 10. stulecia ery chrześcijańskiej z faktami, które opowiada Szujski bez ogródek w swojej historji, a których ja tu powtarzać nie mogę, aby mi nie zarzucono, iż piszę satyry na kościół i na tradycję przodków, zamiast zapewniać, iż obyczaje ich były surowemi a wiara silną jak opoka. Wspominam o tem jedynie, by zaznaczyć, że Józef Szujski należy także do rewolucjonistów, według których deprawacja powszechna i bezbożność nie zwiększyła się, ale owszem zmniejszyła — sam zaś wierzę mocno i wyznaję głośno, że jak świadczy Kadłubek, za Kazimierza II. było gorzej niż za Mieczysława I, a jak świadczy Długosz, za Kazimierza IV. było jeszcze gorzej niż za Piastów, poczem według Skargi, za Zygmunta III. Polska była piekłem niewiary i zepsucia, które to piekło aż do r. 1874 zanurzyło się niesłychanie głęboko w ocean roztopionej siarki i smoły i już ponad tą topielą nie widać nic, oprócz fejletonów „Czasu", nawołujących do opamiętania się, społeczeństwo biesiadujące w szponach książęcia ciemności i złości.

Gdy jednak nie dość jest głośno wyznawać wiarę, a owszem stwierdzać ją potrzeba uczynkami, i naśladować w tem świętych Pańskich, więc chcę naśladować, i będę — fejleton „Czasu." Oto staję na kazalnicy i wołam, że źle z nami, i że złe tkwi nie w zewnętrznych formach społeczeństwa, ale wewnątrz, w indywiduach, które je składają. Wołam, że indywiduom tym potrzeba reformy w duchu chrześcijańskim, że potrzeba im wiary, którąby była podstawą ich przekonań moralnych, że potrzeba im miłości, którąby odwodziła od sobkostwa, i potrzeba im nadziei, któraby nie dopuszczała zwątpienia objawiającego się raz samobójczą apatją, drugi raz, czynem samobójczym. W wołaniu tem streszczam całą prawdę, tkwiącą w zarzutach, czynionych indyferentyzmowi religijnemu, a trafiających jeszcze słuszniej bezwzględną, materjalistyczną negację. Dalszym ciągiem tej prawdy jest to, że wychowanie młodzieży nie wpaja w nią tych zasad, które reformując indywidua, zreformowałyby społeczeństwo — inaczej, byłoby mniej ludzi wstrzymujących się od zbrodni jedynie z obawy przed kodeksem karnym, mniej egoistów, próżniaków i samobójców. Potrzeba tedy wychowywać młodzież w duchu chrześcijańskim, potrzeba przez wychowanie wpoić w nią wiarę, miłość i nadzieję.

Skoro atoli, powtarzając te wszystkie prawdy, wspinam się na niedoścignione „Pogadankom" wyżyny kapłaństwa literackiego i czuję, jak mocno celnicy, bezwyznaniowcy, kronikarze lwowscy i inni złoczyńcy zadzierać muszą głowy do góry, by dojrzeć, gdzie jestem — skoro przyjmuję wszystkie premisy jednego z ostatnich literackich fejletonów „Czasu", uda mi się może po wznowieniu św. Inkwizycji uniknąć stosu, na którym palono ateistów, deistów i panteistów, a nawet zbłąkanych wyznawców Trójcy Przenajświętszej — chociaż zaprzeczam niniejszem dalszemu twierdzeniu pióro-kapłana krakowskiego, jakoby ateizm, indyferentyzm religijny, brak zasad moralnych itd. pochodziły „z nieznajomości katechizmu" i jakoby fatalnościom tym zaradzić można z jednej strony, ucząc jeszcze więcej katechizmu, niż go uczą w szkołach, a z drugiej strony, książkami prawiącemi teoretyczne morały, a doznającemi tak wyłą-

*) Mowa tu o pałacu Dyzmańskich w Warszawie, przy ulicy Miodowej.

cznej opieki „Czasu“, że o innych prawie nie wspomina.

Wzdycha „Czas“, co do tego drugiego punktu, za innym czasem — tym mianowicie, kiedy czytywano Żywoty Świętych, Skargi. Sądzę, a raczej wiem z doświadczenia, że książka ta nie jest lekturą dla młodzieży. Święci Pańscy miewali czasem zdarzenia, doświadczali pokus, oczyszczali się pokutą od grzechów, które w żywotach ich zbyt jaskrawo są opisane, by nie przemówiły do młodej wyobraźni w sposób nieprzewidziany przez bogobojnego autora. Sens moralny, wynikający z całego opowiadania, mniej zwróci uwagi na siebie niżli te ustępy drażliwe. Niemniej wątpliwem jest, czy Pismo Święte, chociażby opowiedziane tak, jak w polecanych przez „Czas“ „Słowach Żywota“, nie obudzi raczej w młodym umyśle tkwiącego w nim ducha krytyki. Dzieci bywają czasem tak ciekawe, i tak im trudno odpowiedzieć na niejedno ich pytanie, że nie pojmuję, jak „Czas“ mógł wpaść na czysto protestancki pomysł oddawania Biblji w ręce świeckie i w dodatku, młode.

Ta właśnie ciekawość dzieci, i ten duch krytyczny, którego rozwijaniu się w młodym umyśle zapobiedz nie godzi się, a często i nie można — sprawiają, że i nauka katechizmu nie odnosi pożądanych owoców. Żartem chyba twierdzi „Czas“, że uczą w szkołach za mało katechizmu, uczą go raczej trochę za wiele, a przedewszystkiem źle go uczą. Nie moją rzeczą wdawać się w to, jak katechizm powinien być wykładany, utrzymuję jednakowoż, że jest to przedmiot w szkołach naszych pod względem pedagogicznym tak niefortunnie traktowany, jak chyba jeszcze tylko nauka jeografji. I tu i tam zaczynają od definicyj abstrakcyjnych. Rezultat, w jeografji, jest taki, że po ukończeniu nauk dość nawet długoletnich, niektórzy uczniowie „wierzą“ tylko, ale nie mają „przekonania“, iż ziemia jest kulistą, iż obraca się około swej osi, krąży około słońca itd. — inni zaś nawet i nie wierzą, ale uważają cały dzisiejszy system kosmograficzny jako rzecz dowolnie przez rozmaitych facecjonistów skomponowaną. Jeżeli taki bywa rezultat nauki, której świadectwem są zmysły ludzkie — jakiż może być skutek pokrewnej metody, zastosowanej do katechizmu?

Gdyby zresztą uczono nawet katechizmu z pożądanym skutkiem i osiągnięto za jego pomocą cel, powyżej wytknięty, tj. wpojenie ducha chrześcijańskiego w młodzież, jeszcze zawsze potężny bardzo odłam naszego społeczeństwa pozostałby nieobjęty tą reformą. Żydzi stanowią u nas około 11% ludności, w ogóle, a znaczniejszy nierównie procent kształcących się w szkole i poza szkołą warstw społecznych. Nikt nie zdoła nakłonić ich do przyjęcia religji chrześcijańskiej, i do uczenia się naszego katechizmu, a nikt nie pokusi się o to, by ich odciąć od pnia cywilizacji nowoczesnej, chrześcijańskiej, do którego słabo bardzo przyrośli. Otóż jeden jeszcze powód, by dążyć do rozszerzenia „ducha“ chrześcijańskiego niekoniecznie w pewnych jego zewnętrznych „formach“, ale w jego „istocie“, a więc w innej drodze, niż w drodze nauczania katechizmu, i robienia prozelitów morałami, spisanemi w osobnych tomach. Znana sumienność i uczciwość publicystów pewnego obozu pospieszy niezawodnie obwinić mię z powodu tych słów, że chciałbym „aby zniesiono naukę religji, dla rozszerzenia jej niby.“ Zastrzegam się przeciw temu zarzutowi, jakkolwiek powtarzam, że katechizm i katecheci więcej są winni niereligijności powszechnej, niż Wolter albo Darwin. Chcę jedynie wyrazić zdanie, że każda epoka ma swój odmienny sposób szerzenia zdań i zasad, i że to, czego dawniej dokazywały kazania, zaklęcia, książki jak armaty nabijane pociskami prawd moralnych, mistyczne zachwyty i symboliczne ceremonje, tego już dziś nie dokażą. Wskazywać samo tylko „dobro“ nie prowadzi już do celu, trafia się do niego drogą namacalnej, praktycznej „prawdy“ i porywającego nią „piękna.“ Zwracam uwagę, jak często Heine, Mendelsohn i Meyerbeer są chrześcijaninami, i zapytuję, czy nie jest w gruncie chrześcijaninem żyd, który zachwyca się np. powieściami Dickensa, albo który unosi się grozą niewytłumaczoną, kiedy Joanna d'Arc kona z chorągwią swoją w ręku? Jedna powiastka, w żywych, prawdziwych rysach stawiająca „dobro“, jakie może być w rzeczywistym świecie, przeciw „złemu“, które na nim bywa, potężniejszą jest propagandą ducha chrześcijańskiego, niżby nią była ustawa, nakazująca podwojenie godzin, przeznaczonych na naukę katechizmu w szkołach. Ale pamiętajmy, że rysy muszą być żywe i prawdziwe, i że powiastka musi zajmować czytającego o wiele silniej, niż owa „Spuścizna po Nieznajomym“ która swoim zbiorem gderań, zajęła tylko fejletonistę „Czasu“, i to, kto wie, czy naprawdę. Żałuję, że dziś brak miejsca nie pozwala mi rozwinąć obszerniej potrąconych tu myśli, ale znajdzie się ku temu sposobność innym razem.

Jan Lam.

TEATR.

(*Krok*, ostatni Arkony książę, tragedja w 5. aktach przez Bronisława Komorowskiego.)

Chylącej się już prawie do upadku pod nawałą Niemców i chrześcijaństwa, pogańskiej Słowiańszczyźnie zachodniej, przywróciły zwycięzkie z Niemcami boje Chrobrego, wiek cały dawnej świetności i niepodległości politycznej i religijnej. Słabe nasiona chrześcijaństwa zaginęły przyduszone bujnie na nowo wzrastającem pogaństwem. U Lutyków, z pokonaniem Obotrytów i wypędzeniem Mieszka, sprzyjającego chrześcijaństwu, rozpoczęła się nowa świetna era bałwochwalstwa, którego główną stolicą była Retra. Złamane w ten sposób chrześcijaństwo, poczęło się znowu dźwigać u Obotrytów pod rządami Gotszalka, wspierane wpływem niemieckim. Niepokoje jednak powstałe w państwie niemieckiem za Henryka IV. osłabiły ten wpływ i dały hasło do powszechnego rokoszu pogańskiego, w którym poległ sam Gotszalk w Łęczynie pod ofiarnemi nożami kapłanów pogańskich. Syn jego Henryk, zrodzony z córki króla duńskiego, uciekł wraz z matką do Danji. Straszliwy odwet wzięło ciemiężone pogaństwo, na wyznawcach krzyża... „W ówczas to, powiada kronikarz niemiecki Helmold, obrali sobie Słowianie książęciem Króka, syna Grynowego, poganina“, księcia słowiańskiej wyspy Rugii, której stolicą była Arkona. Mąż to był łagodnego serca a chrobrego ramienia, i cała prawie Słowiańszczyzna zachodnia uznała jego zwierzchnictwo. Lecz gdy się postarzał, osłabł duch jego a na państwo mnogie zwaliły się gromy. Między innemi, wygnany ów syn Gotszalka, Henryk, z posiłkami duńskiemi napadał wybrzeża słowiańskie i łupił takowe. A gdy się to kilkakrotnie powtórzyło, padła trwoga na wszystkie ludy słowiańskie, i sam Krók (powiada Helmold) „przyjął niespodziewanie do łaski księcia Henryka i dozwoliwszy mu powrotu do ojczyzny, niektóre miasta (Płonę z okolicą) wydzielił mu w posiadłość. I żyli jakiś czas w zgodzie ze sobą, częstemi weseląc się ucztami.“

Uważałem za konieczne poprzedzić rozbiór niniejszego utworu, powyższym krótkim rysem dziejowym, ażeby zrozumialszemi uczynić dla osób nieznających dokładnie dziejów tak zamierzchłych wieków, historyczne premissy dramatu p. Komorowskiego, które z samej ekspozycji utworu nie dość wyraźnie się przedstawiają. Co się tyczy późniejszych stosunków i zdarzeń wchodzących w samą treść utworu, to w tej mierze, korzystając z przysługującego mu przywileju, postąpił sobie autor tak, jak tego wymagały myśl i budowa dramatu, odrzucając jedno, przyjmując drugie, przekładając dowolnie wypadki i dowolne podsuwając im motywa, zachowawszy jednak z wyjątkiem kilku anachronizmów wiernie tło i koloryt epoki. Jeżeli co, to tylko zbyt dowolne pomięszanie mitologji słowiańskiej z litewską, zarzucilibyśmy autorowi.

Potężnym w pomyśle i bogatym w motywa dramatyczne jest sam przedmiot utworu. Ścieranie się i walka dwóch światowładczych idei, dwóch słońc, z których jedno zapada w noc niepowrotnej przeszłości, podczas gdy drugie na przeciwległym widnokręgu wschodzi zwycięskim promieniem. Zachód jednego i wschód drugiego jest skutkiem nieubłaganej konieczności dziejowej. A obie te zorze, poranna i wieczorna, oblane są purpurową krwią... Takie jest *fatum* dziejowe, że każdej nowej idei na świat wschodzącej towarzyszą gromy walk, potoki krwi, i mnogie ofiary — niewinne... Naprożno wyrzeka stary wajdelota na lud swój, że „czeka na przyjście nowych bogów, dawnemi już gardząc, i gardząc zwyczajem swej ziemi“, daremnie Ludmir chce szukać obrońców dawnych bogów i starych tradycyj między „chamami serdecznemi...“ Słońce powstające oświeca naprzód góry, ale i w doliny w końcu zejść — musi... Takie jest nieodmienne prawo dziejowe, przeciw któremu nie masz siły i niemasz zwycięstwa. Dlatego walka taka beznadziejna jest pełną głębokiej tragiki.

Tragiczność tej walki bardziej jeszcze spotęgował autor, czyniąc głównymi przedstawicielami walczących ze sobą idei, dwóch ludzi czystych, szlachetnych, jakimi są Krok stary i Henryk, ów typ chrześcijańskiego rycerza. Nad tymi dwoma ludźmi, czującymi wzajemną cześć i miłość ku sobie, zaciężyła jakaś niewidoma fatalna moc, i jednego z nich czyni pomimowolnym sprawcą nieszczęść i upadku drugiego. Wszak z dłoni Henryka padają gromy na głowę Kroka; on jest bezwiednym powodem buntu przeciw Krokowi, on to mu wydziera miłość Sławiny.. Ileż w tem mieści się prawdziwej tragiki!...

Z drugiej zaś strony owo złowrogie *fatum*, które sprowadza całe tragiczne zawikłanie, posiada swoje sprężyny widome, za pomocą których działa. Sprężyny to odwieczne; z jednej strony ciemny, ślepy fanatyzm, uosobiony w Runie i Lutce, z drugiej strony ambicja i chciwość ludzka, uosobione w Makarcie i Sławoju. Bo czyż były kiedy na świecie tak wielkie lub tak szczytne idee, któremi by nie kupczono?... Dodajmy w końcu ów czynnik odwieczny, wszędzie i zawsze powtarzający się: miłość; wzajemny pociąg magnetyczny ku sobie Henryka i Sławiny, ognistą namiętność Lutki ku Ludmirowi, skryty żar miłości Ludmira ku Sławinie — i oto mamy wszystkie sprężyny, kierujące od wieków ludzkiemi sprawami! Wszystkie je wprowadził autor, ze znajomością tajemnic psychologicznych i ludzkiej natury. A nawet zarzuciłbym w tej mierze autorowi zbytne nagromadzenie motywów, których dalsze konsekwencje utrudniły niezmiernie przeprowadzenie i rozwiązanie głównej akcji, a co gorsza, skrzywiły i złamały takową, jak to poniżej okażemy. Odnosi się to szczególniej do stosunku miłosnego Ludmira do Sławiny, tudzież Lutki do Ludmira. Drugi z nich nie potrzebny był w sztuce a stworzył trudności, pierwszy zaś pozbawił sztukę m o t o r a głównej akcji, w chwili, kiedy takowa najbardziej go potrzebowała t. j. po akcie 3. Zresztą powrócimy później jeszcze raz do tego punktu. W ogólności utwór niniejszy grzeszy tem, że jest w nim pełno epizodów, szczegółów, motywów, nie zestrzelających się do jednego, wspólnego celu. Autor przeciążył swój utwór mnóstwem intryg i zawikłań, których niepodobna mu było przeprowadzić i rozwiązać wszystkie z jednakową dokładnością. Ledwie jedną nić snuć zaczyna, porzuca ją i chwyta drugą, a żadnej nie dociąga konsekwentnie do końca. Dlatego wiele rzeczy jest niewyraźnych, wiele pozostawionych domyślności widza. Przez zbytek akcji, wydaje się często, jak gdyby jej nie było... Najgłówniejszym powodem niejednolitości akcji, jest brak punktu środkowego, około którego powinnaby się grupować, brak źródła z którego winaby wytryskać, jednem słowem, brak b o h a t e r a... Bohaterem, we właściwem znaczeniu dramatycznem,

nie jest tu ani Krok, ani Henryk. Wszak nie oni kierują falą wypadków, lecz przeciwnie fala ta porywa i niesie ich ze sobą: pomimo, a nawet wbrew ich woli. W tym względzie stanął autor prawie na stanowisku, starożytnej tragedji, gdzie bohater jest tylko bierną ofiarą niezawisłych od niego wypadków, któremi kieruje nieubłagalne *fatum*.

Względną jest tu także wina tragiczna bohatera. Jest ona sprzeniewierzeniem się duchowi chwili współczesnej, lecz nie duchowi bezwzględnej sprawiedliwości! Duch walki religijnej, która złowrogą chmurą zaciężyła nad zachodnią Słowiańszczyzną, wymagał od Kroka, jako od naczelnika jednego z walczących obozów, ażeby stanął na jego stanowisku i walczył pod jego sztandarem. Lecz szlachetny książe przenosi pokój, który uważa za sprawiedliwy, nad walkę niesłuszną. Oddaje dobrowolnie Retrę Henrykowi, jako prawemu potomkowi Gotszalka, bo czuje, że „walka ta niewinnie spada na rugjańskie plemię i głowie jego przekleństwo niesie“, i rad oddaje Henrykowi ojcowskie księstwo „ażeby ludowi własnemu oszczędzić ofiar i krwawego znoju...“ Do tego rozumowania przyczynia się ze strony Kroka pono także „słabość i nieradność sędziwego wieku“, i w tem chyba tylko leży osobista jego wina. Lecz zapalczywy demon walki religijnej, któremu on stanął oporem, mści się na nim, i krocząc naprzód w niepowstrzymanym pochodzie, party fatalną konicznością dziejową, przechodzi po nim i zgniata go. Obok wysokiej tragiki, mieści się w tem myśl głębokiego znaczenia: że naczelnikom narodu w chwilach powszechnego porywu, ogarniającego naród, albo należy przodować idei narodowej, albo też komu innemu ster oddać... Sprzeniewierzenie się zaś tej idei ściąga na nich karę i upadek.

Postać Kroka jest nader wdzięczną, sympatyczną a nawet oryginalną, pomimo powierzchownego (w kolejach losu) podobieństwa z Learem. Łączy ona w sobie wszystkie rodzime cechy Słowianina. Słodycz gołębią obok chwilowej porywczości, prostoduszność i szczerość, łatwowierność i gościnność. Jak trafnie charakteryzuje go owa scena, w której zabija Dalibora, gwałcącego prawa gościnności. Zabija go wpoprywie szlachetnego gniewu, a już w następnej scenie płacze nad nim jak dziecko, a jednak „gdyby ożył, zabiłby go powtórnie!...“ Starość uczyniła go upartym i kapryśnym (w tem podobny jest do Leara), ale owa scena z Ludmirem w akcie 2. zdradza, jak szlachetne serce bije w jego piersi, i zjednywa mu miłość, przebaczenie i współczucie widza. „Dobre jest z niego panisko...“ Stworzenie takiej postaci przynosi autorowi chlubę, której nie zmniejszy płytkie twierdzenie krytyków, upatrujących w tej samodzielnej kreacji tylko kopję Leara...

Przejdźmy pokrótce tok wypadków w pierwszych trzech aktach.

Krok zawiera przymierze z Henrykiem, wbrew starosławiańskiemu stronnictwu, które domaga się walki. Na czele tego stronnictwa pogańskich fanatyków stoją: stary pieśniarz Runo, Lutka, ksieni Znicza (?) i hetman książęcy Ludmir. Krok zwraca Henrykowi Retrę, i zaprasza go do zamku swojego, do Arkony, w gościnę — ażeby tam retrzańscy supany złożyli hołd nowemu władcy. Pierwsze spotkanie Henryka ze Sławiną na zamku arkońskim, rozbudza w sercu obojga wzajemną miłość. Stosunek ten pomyślany jest nietylko nader poetycznie, ale z głęboką psychologiczną prawdą. Przypomina miłość Wallenroda i Aldony. Jak tam, tak i tu, egzaltacja religijna toruje drogę ziemskiemu uczuciu... I odwrotnie, miłość staje się prozelitką. W obojgu uczucie to rodzi się prawie bezwiednie, oboje tają je przed sobą. Aż dopiero owo przypadkowe spotkanie nocne w akcie 2. uchyla przed Henrykiem zasłonę Sławiny. Lecz z jak delikatnym taktem czyni to autor, zapomocą kilku słów rzuconych bezwiednie w pomięszaniu... Cała ta scena, prześliczna, na rzetelną zasługuje pochwałę. Henryk tłumi w sobie rosnące uczucie, uważając je za niegodną zdradę względem swojego sprzymierzeńca, że jednak niemniej gorąco wre ono w jego sercu, dowodzą gorączkowe słowa, jakie wyrzuca w akcie 3. „serce szydzi z woli, więc gdyby tętnić poczęło goręciej dla tej kobiety?... O precz! precz ztąd! — Z roli, jakąby tutaj odegrać wypadło nikt nie wychodzi zwycięzko“... Zrazu usiłuje wprawdzie okłamać swe serce, pozorem li religijnego apostolstwa. Ale bystry znawca serc ludzkich Makart, odgaduje odrazu prawdziwą istotę tego uczucia i cyniczną dłonią zdziera zasłonę, pod którą Henryk przed sobą samym utaił swą miłość. Co więcej usiłuje w nim nawet rozdmuchać to uczucie, ażeby tym sposobem niechętnego przychylić do swych planów politycznych... Tymczasem na niebie Arkony złowieszcze gromadzą się chmury. Z jednej strony Ludmir z Runem i Lutką szerzą pomiędzy ludem tajemny spisek, ażeby zerwać przymierze Kroka z Henrykiem, wyswobodzić Retrę i w pień wyciąć najezdców. Z drugiej strony chytry Makart za pomocą ambitnego a krótkowidzącego Sławoja, który zazdrości Ludmirowi łaski książęcej i buławy hetmańskiej, usiłuje wywołać rozdwojenie i rozruch w Arkonie, ażeby pokonawszy ją wtedy tem łacniej zatknąć w jej murach, krzyż, a może... i tron dla siebie wystawić. Nader zręcznie splątał tu autor z główną akcją polityczną miłośny stosunek Henryka i Sławiny i użył go za środek sprowadzający wybuch głównej katastrofy. Sposobność do tego nastręcza owo wyż wspomniane spotkanie nocne Henryka i Sławiny, które podgląda młody dworzanin Dalibor, a podsuwając mu znaczenie nieczyte i w szlachetnem oburzeniu chcąc pomścić hańbę starego księcia, godzi mieczem w Henryka. Na zgiełk powstały, wpada Krok i zabija Dalibora, który umiera, nie wyjawiwszy powodu swojego targnięcia się na Henryka. Śmierć Dalibora staje się hasłem wybuchu przygotowanej przez spiskowców katastrofy. Grom za gromem spada na siwą głowę Kroka — ukochany hetman go porzuca — lud się przeciw niemu buntuje, aż wreszcie dotyka go i łamie najsroższy cios — ucieczka Sławiny... W całej tej scenie leży taki ogrom przerażającej tragiki, taka dramatyczność, że ta jedna scena wystarcza, ażeby najbardziej uprzedzonego przekonać o niepospolitym talencie dramatycznym p. Komorowskiego. W ogóle cały akt 3. jest znakomity i przewyższa wszystko, co wydała nowsza literatura dramatyczna. Pierwsze trzy akty obmyślane są nader subtelnie, starannie i logicznie. Każdy krok jest tu rozumnie umotywowany. Akcja potęguje się niezmiernie. Katastrofa zręcznie przygotowana, rozgrywa się w krótkich a potężnych akordach. W łonie dramatu panuje szlachetny, wzniosły patos. Jeden wszakże zarzut miałbym do zrobienia autorowi, a tym jest porzucenie Sławiny przez Henryka w akcie 3cim, w chwili groźnego niebezpieczeństwa. Autor zamierzał tym sposobem uwolnić Henryka od wszelkiego współnictwa w wiarołomstwie Sławiny, a uczynił go przez to tylko nieprawdziwym i wysoce niesympatycznym. Tak nie postąpiłby był nigdy „rycerz chrześcijański,“ którego uosobieniem ma być Henryk!... W ogóle postaci tej zarzuciłbym, że nie jest człowiekiem, lecz ideą... Dlatego też rola tryumfatora i zwycięzcy idei, jaką odgrywa Henryk na końcu dramatu, jest nieprawdopodobną i nienaturalną. Idee zwyciężają w świecie nie cudem jakimś, lecz za pomocą widomych środków, przez ludzi pełnych hartu ducha, ognistego zapału i głębokiego przekonania. Idea, której przedstawicielem i szermierzem byłby człowiek taki słaby i nijaki, jak Henryk, nie doczekałaby się pono nigdy zwycięstwa...

Z aktem 3cim dosięgła akcja dramatu punktu kulminacyjnego. I tu urywa się nagle, bo nie masz tego, ktoby ją miał dalej prowadzić — nie masz bohatera!... Krok oszalał — Ludmir, złamany na duchu nieszczęśliwą swą miłością ku Sławinie, rozwodzi się w ckliwych żalach, jak gach zakochany.... Tak świetnie rozpoczęta walka przebrzmiewa gdzieś w słabych echach — za kulisami.... Potężny, szerokiem łożyskiem pędzący potok akcji, zamiera nagle i cieknie odtąd wątłym strumykiem ckliwego i niesmacznego romansu, jaki się rozgrywa między Lutką a Ludmirem. Zupełnie chybioną, zdaniem mojem, postacią w tym dramacie jest Ludmir. Pozując zrazu na bohatera i oswobodziciela ludu, kończy następnie jak mazgaj i nikczemnik. Lutka, jakkolwiek psychologicznie pomyślana, jest również postacią przez swój stosunek do Ludmira dla dramatu szkodliwą. Kobieta tak natarczywie narzucająca swą miłość mężczyźnie, sprawia wrażenie nieestetyczne, a scena w akcie 4, w której odsłania się nagle owe fatalne „nieporozumienie,“ w stosunku Lutki do Ludmira, wywołuje wrażenie nieprzyjemne i niezgodne z wzniosłym nastrojem całego utworu. Tego rodzaju miłośne „nieporozumienia“ bywają tragedji przytem niebezpiecznemi, łatwo bowiem rodzą trywialność, i w ogóle są motywem stosowniejszym dla komedji niżeli dla dramatu.

Obok ciężkich wad, posiada utwór p. Komorowskiego wysokie zalety, które nadają mu wartość wyższą od współczesnych płodów naszej muzy dramatycznej. Tak wady jego, jak zalety staraliśmy się wykazać ze ścisłą bezstronnością i z bezwzględnością, ale zarazem i z szacunkiem, na jaki ze wszech miar zasługuje ten utwór. Miernoty tylko pomija się kilkoma obojętnemi wyrazami... „Krok“ jest jednym z tych bardzo nielicznych, nowszych utworów dramatycznych, które zwiastują kiedyś literaturze naszej świetną przyszłość w dziedzinie dramatu. Nie wątpię, że i p. Komorowskiemu dostanie się udział w tej przyszłości... Pomijam tu niepoślednie przymioty poetyczne i literackie „Kroka,“ które snadniej oceni czytelnik niżeli widz. „Krok“ pojawił się rok temu drukiem.

Przedstawienie „Kroka“, staranne pod względem zewnętrznym, pozostawiało nie jedno do życzenia pod względem gry artystów. P. Rychter w roli tytułowej, miał chwile potężnej siły i dramatyczności. Zarzuciłbym mu tylko, że nie dość uwydatnił charakter słowiański w postaci Kroka, zwłaszcza w ósmej scenie powitania Henryka na zamku arkońskim w akcie 1ym. Należało tu włożyć więcej serdeczności, wylania i owej gościnnej zapobiegliwości. Spodziewalibyśmy się także widzieć w Kroku chwilami przebłyski dawnego bohaterstwa. Zresztą rola ta jest prawdziwą chlubą znakomitego artysty, wyciskała widzom łzy i wywoływała grzmoty oklasków. Ludmir, Woleńskiego, grzeszył zbytkiem patetyczności i deklamacji. Więcej pierwotnej siły, nieokrzesanego zapału i szorstkości, zwłaszcza w pierwszych aktach, odpowiedziałyby bardziej intencji autora. P. Nowakowska, jako Lutka, byłaby sympatyczniejszą uczyniła tę postać, gdyby jej była ujęła trochę bombastyczności w pierwszych aktach, a chciwości w dwu ostatnich. Zwłaszcza owe wieszcze tyrady w akcie pierwszym raziły fałszywym patosem. Panna Deryng w rolę Sławiny wlała wiele uczucia, chwilami może nieco zbyt sentymentalnego. Niektóre sceny jednak, a zwłaszcza scena w akcie 2gim odegrane były wybornie. P. Konarski w roli Runa, głębokiem przejęciem się wynagrodził po części brak odpowiedniej do tej roli indywidualności. P. Edgar w roli Makarta, i p. Zboiński w roli Sławoja, odznaczyli się zarówno dobrą grą, jak trafną charakteryzacją. Na obu przedstawieniach publiczności było nie wiele. Jest to przepowiedziany przez nas skutek zbytniego przeciążenia repertoarza poważnemi i ciężkiemi utworami.

Michał hr. Dzieduszycki.

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

Wyprawa Franklina jest po wyprawie kapitana Willoughby pierwszą i ostatnią do dnia dzisiejszego w historji podróży arktycznych znaczniejszą ekspedycją, która zginęła tak do szczętu w śniegach i lodach polarnych, że żaden jej uczestnik nie ocalał i nie powrócił z wieścią o losie dowódzcy i towarzyszów swoich.

Dwa lata oczekiwano powrotu Franklina, a gdy żadna od niego, ani o nim nie przybywała wiadomość, zajął się cały świat cywilizowany z rzadkiem w historji współczuciem i gotowością do poświęceń losem nieszczęśliwego kapitana. W przeciągu dziesięciu lat (1847—57) wyruszyło dwadzieścia i jeden wypraw w celu odszukania śladów ekspedycji Franklinowskiej i przyniesienia jej w danym razie pomocy. Ekwipowali je w części ludzie prywatni, w części Stany zjednoczone i Francja, w największej części rodzinna Franklina Anglja, która z przynoszącą zaszczyt narodowi angielskiemu wspaniałomyślnością około 2.000.000 ft. szt. na ten cel wydała. Cały zastęp najdzielniejszych podówczas oficerów marynarki wystąpił do współu-

biegania się o zaszczytne pierwszeństwo odszukania zgubionego podróżnika. Od wschodu i zachodu, i lądem od południa przebijali się na archipelag północno amerykański i krążyli w różnych kierunkach po jego zatarasowanych lodami kanałach, zatokach i wyspach, okrętami, łodziami i saniami: obaj Rossowie, Rae Pellet, Saunders, Collinson, Mac-Clure, Mac-Clintock, Kellet, Penny, Austin, Osborn, Forsyth, Kennedy, Inglefield, Belcher, Maguire, Troloppe, Kane i inni. Niektórzy z nich przedsiębrali nawet po dwie wyprawy, a niespożyty Jan Rae, handlarz futer kompanji Hudsońskiej, odbył w tym przeciągu czasu aż cztery podróże.

Nareszcie dopięto celu i ciekawość powszechna została bodaj w części zaspokojoną.

Kiedy jeszcze Kane w pustyniach lodowych Grenlandji, Kellet w cieśninie Melvill, M'Clure w zatoce Mercy, a Collinson u wybrzeży wyspy Baring zamknięty lodami przebywał, powziął Rae od Eskimosów wiadomość o nieszczęśliwym końcu wyprawy Franklina. Admiralicja brytańska wyprawiła niezwłocznie w r. 1855 nową ekspedycję pod Andersonem i Stewartem, ale gdy i ta żadnych śladów nie odkryła, a o znalezieniu przy życiu, chociażby jednego tylko towarzysza Franklina, po powziętej od Eskimosów wiadomości nie można było ani nawet marzyć, zaprzestał rząd angielski dalszych w tym celu usiłowań. Nie zaprzestał ich jednak naród Wielkiej Brytanji, poczytując to za ubliżenie dumie swojej, żeby zaniechać rzeczy w połowie tylko dokonanej. Ze składek publicznych wyekwipowano tedy parowiec śrubowy *„Fox“*, który w r. 1857 pod dowództwem doświadczonego już w dawniejszych ekspedycjach w tamte strony M'Clintocka, w towarzystwie kilku, również z podróżami arktycznemi obznajomionych marynarzy, na archipelag północno amerykański wyruszył. Po całorocznej, nadzwyczajnie uciążliwej podróży odszukał M'Clintock na wyspie króla Wilhelma szczątki nieszczęśliwej wyprawy Franklinowskiej: trochę rzeczy i narzędzi, dwa szkielety w czółnie i dwa pisma pod kupą kamieni, donoszące o śmierci dowódzcy i o opuszczeniu przed laty jedenastu uwięzłych w lodach statków przez stu pięciu towarzyszy jego, którzy go przeżyli, aby pod dowództwem kapitana Crozier dobić się pieszo do kontynentu Ameryki u ujścia rzeki Rybiej. Co się stało z tymi ludźmi, którzy znalezione czółno i rzeczy do tego miejsca przyciągnęli i z których dwóch zginęło tutaj śmiercią z głodu i zimna, pozostało i pozostanie podobno na zawsze tajemnicą.

Ale to odszukanie smutnych szczątków wyprawy Franklina nie było jedyną nagrodą podejmowanych przez lat dwanaście trudów. Błądząc we wszystkich kierunkach po archipelagu Ameryki, znaleziono już ośm lat wcześniej północno zachodnią drogę z Atlantyku do oceanu Spokojnego. M'Clure, Balboa arktyczny, przebił się pierwszy kanałami morskiemi z cieśniny Beringa do odnogi Baffina i zdobył sławę odkrycia tej drogi, której szukanie wyprowadziło pierwsze ekspedycje europejskie w świat arktyczny, ojczyźnie swojej, Wielkiej Brytanji, najwięcej też istotnie ze wszystkich państw i narodów Europy na tem polu zasłużonej.

Wyprawy Franklinowskie i odkrycie północno zachodniej przeprawy, której przez trzy wieki blisko szukano, kończy drugi, najświetniejszy okres w historji podróży i odkryć w świecie arktycznym.

Zobaczmyż teraz jaki był ogólny rezultat prac, rozwiniętych w tem czterdziestoleciu na tak olbrzymie rozmiary w świecie arktycznym.

* *
*

Tak długo daremnie oczekiwane odkrycie drogi północno zachodniej, było tryumfem niezłomnej siły i wytrwałości człowieka, która zdolna jest ostatecznie przezwyciężyć wszelkie przeszkody, ale tryumfem bez żadnej realnej korzyści; przynosiło w nagrodę zaszczytną kartę w historji, ale nic więcej, krom sławy. Nie było to jednakże już teraz rozczarowaniem. Od czasów Edwarda Parry nikt już bowiem nie łudził się nadzieją, żeby morza arktyczne mogły kiedy posłużyć do skrócenia lub ułatwienia komunikacji handlowych. Odkrycie M'Clurea przekonało tylko dowodnie i niezbicie o tem, czego się już z rezultatów podróży arktycznych od czasów Cooka niewątpliwie spodziewano: znaleziona przez niego droga morska mogła być na znacznej przestrzeni tylko saniami po lodach, albo w najszczęśliwszym razie łodziami przebytą, a dla statków była w każdej porze roku niedostępną. Gdyby więc jeszcze teraz tak, jak początkowym wyprawom arktycznym, zależało było głównie na robieniu odkryć praktycznej użyteczności, to szukanie drogi północno zachodniej byłoby istotnie, jak się niegdyś Cook wyraził, szaleństwem, a odkrycie jej nie wynagrodziłoby bynajmniej tylowiekowej pracy.

Ale wyprawy arktyczne wyrzekły się już od początków tego wieku wszelkich korzyści materjalnych, i nie troszcząc się o zyski, jakie z ich odbryć ciągnęli łowcy wielerybów i kompanje handlowe, szukały wyłącznie zdobyczy naukowych i na tem też polu prace ich obfitsze nawet, niż się spodziewano przyniosły plony.

Zaprowadziłoby to nas zadaleko, gdybyśmy chcieli wyliczyć wszystkie zdobycze, jakiemi ekspedycje arktyczne wzbogaciły cały obszar nauk przyrodniczych. Wspomnimy więc tylko o tych, które bezpośredniej łączą się z geografją, jak np. Sabinea doświadczenia z wahadłem w celu oznaczenia kształtu ziemi; tegoż obliczenia stałych ilości magnetyzmu ziemskiego na różnych punktach; odkrycie przez Rossa w czasie drugiej jego wyprawy arktycznej ruchomego bieguna magnetycznego ziemi na zachodniem wybrzeżu Boothia felix; badania istoty zorzy polarnej, tego do dzisiaj jeszcze w wielu względach zagadkowego zjawiska; wyjaśnienie praw krążenia dwóch głównych prądów morskich, golfowego i polarnego, które jak dwie olbrzymie rzeki wiją się przez pustynię oceanu; długie listy obserwacyj meteorologicznych, robionych pod różną szer. geogr. które rzuciły nowe światło na klimatyczne stosunki strefy polarnej i nasunęły mnóstwo zagadnień, oczekujących jeszcze rozwiązania; badania stopnia nasycenia solą i przyczyn rozmaitego zabarwienia mórz podbiegunowych; Kanego teorja tworzenia się i ruchu lodowców polarnych i wiele innych ważnych spostrzeżeń, które obaliły całe szeregi dawniejszych hipotez i podniosły tę ciemną zasłonę, jaka okrywała przed stu laty jeszcze całą przyrodę świata arktycznego. Rozszerzyły się też znacznie i udokładniły granice znanych w tej stronie obszarów, jużto przez odkrycie nowych mórz i lądów jużteż prze ściśle oznaczenie położenia i kształtów znanych już wybrzeży. Scoresby znalazł pomiędzy istotnem położeniem wschodnich wybrzeży Grenlandji, a oznaczeniem ich na ówczesnych mapach 14° geogr. dł. różnicy. Rąbek wybrzeży północnej Azji i Ameryki zarysował się wyraźnie i dokładnie ze wszystkiemi swemi zatokami i przylądkami. Parry dotarł na północ od Spitzbergen po lodach aż do $83^{3}/_{4}$° szer., zkąd pędzone ku południowi kry lodowe równie szybko, jak on się posuwał ku północy, zmusiły go do powrotu. Kellet pomknął się od cieśniny Beringa i północno zachodnich wybrzeży Ameryki aż do 72° szer., a Kane dobił się cieśniną Smitha do 79° szer. Z lodów arktycznych wynurzył się cały świat nowy i na mapach, na których pięćdziesiąt lat przedtem na północy od arktycznych wybrzeży Ameryki zaledwie kilka niepewnych umiano pociągnąć kresek, pojawił się archipelag z mnóstwem półwyspów, wysp, kanałów i zundów, rozpościerający się blisko przez dziesięć stopni geogr., od zatoki Koronacyjnej aż do wysp Parry i ziemi Grinnela. Grenlandja, poczytywana niegdyś za półwysep Ameryki północnej, rozrosła się w osobny ląd, a w odległości około 40 mil geogr. od północno wschodnich wybrzeży Azji odkrył Kellet (1849) górzyste przylądki tego zagadkowego kraju polarnego, którego Wrangel daremnie przez cztery lata szukał, a który w ośmnaście lat (1867) potem kapitan Lang z innej strony widział i najniesłuszniej krajem Wrangla nazwał.

Rezultaty te były nadzwyczajnie świetne i późniejsze usiłowania aż po dzień dzisiejszy, szczególnie pod względem ściśle geograficznym, co do rozszerzenia granic poznanych w tem czterdziestoleciu obszarów, bardzo mało stosunkowo je wzbogaciły. Nie rozwiązały one jednak bynajmniej ostatecznie kwestji polarnej. Obszar około 140.000 mil kw. geogr. pozostał bowiem jeszcze zawsze nieznanym, a pośród tego obszaru krył się przed okiem człowieka biegun, ów tajemniczy punkt, gdzie siła odśrodkowa wirowania ziemi przestaje działać, gdzie nieznane morze podług nieznanych praw przypływa i odpływa, gdzie po sześciomiesięcznym dniu, sześciomiesięczna następuje noc, gdzie gwiazda polarna świeci w zenicie, a słońce i księżyc, krążąc po krańcach widnokręgu, ukośne rzucają promienie — ów punkt, który osiągnąć, poznać i zbadać naocznie było od początku tego wieku najgorętszem pragnieniem podróżników arktycznych, geografów i w ogóle wszystkich badaczów przyrody, gdyż w nim miano znaleźć klucz do większej części zjawisk fizyczno geograficznych całej północnej półkuli.

Z dotarciem do bieguna łączyły się przedewszystkiem dwie kwestje ściśle geograficznej natury: czy około bieguna rozlewa się otwarte, wolne od lodów morze polarne i jak daleko rozpościera się ku północy ląd Grenlandji. Naoczne przekonanie się w różnych miejscach w ciągu ubiegłego czterdziestolecia, że lody, moszczące ocean polarny w pewnej odległości od wybrzeży Azji cieńczeją, a wreszcie kończą się nawet zimową porą, że od bieguna rwą tak potężne prądy, iż rozsadzają nawet najgrubszą skorupę lodów i znoszą kry po kilkaset mil kw. geogr. rozległe, pędząc je z szybkością kilku mil na godzinę ku południowi, nakoniec odkrycie Kanego, który w obu podróżach swoich miał widzieć na północy od cieśniny Smitha otwarte zupełnie morze, a tak rozległe, że granic jego nawet z wysokości 500' dojrzeć nie mógł, zdawało się usuwać wszelką wątpliwość co do otwartego

morza polarnego. W drugiej kwestji wystąpił dr. A. Peterman, jeden z najznakomitszych geografów tegoczesnych, z hipotezą, rówie śmiałą jak ciekawą. Zestawiając z właściwą sobie bystrością spostrzeżenia dotychczasowych podróżników, wywnioskował on, że Grenlandja rozpościerać się musi albo obszarem litej suszy, albo przynajmniej rozległym, a gęstym archipelagiem przez całą strefę polarną od północno wschodnich wybrzeży Ameryki aż na przeciwną stronę półkuli północnej, do północno wschodnich wybrzeży Azji, i poczytał nowo odkryty przez Kelleta kraj za drugi koniec tego nieznanego kontynentu, czy też archipelagu grenlandzkiego. Hipoteza Petermanna, jakkolwiek poparta bardzo gruntownemi dowodami, jakich tylko tak głęboka znajomość rzeczy, jaką ten geograf się odznacza, dostarczyć mogła, znalazła jednak wielu przeciwników i wywołała żywe spory, w których brały udział najpierwsze na tem polu powagi, ale które ostatecznie tylko nowe podróże i odkrycia rozstrzygnąć mogły.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Studja Platońskie przez Dra Zygmunta Samolewicza. I. Hippias większy. Osobne odbicie z Pamiętnika Akademji Umiejętności w Krakowie. 1874. in 4to Str. 23.*)

Bez żadnej przedmowy, z którejby się dowiedzieć było można, jakie stanowisko w ogóle myśli autor zająć w swoich „studjach“ wobec bogatej literatury zagranicznej o prawdziwości dzieł platońskich, zapewnia nas tylko pan Samolewicz w kilku słowach wstępnych bardzo oględnie, że „sprawa ta obecnie w ogólności (!) zdaje się (!) być po większej części(!) załatwiona,“ ale że w szczegółach każdy prawie dialog Platona wiele jeszcze trudności nasuwa. Wybierając zaś sobie za pierwszy przedmiot swoich badań, jednę z najpodrzędniejszych rozmów, przekazaną nam pod imieniem „Hippias większy,“ w której ocenieniu uczeni dotychczas nie mają być z sobą w zgodzie, nie uwydatnia również wcale ogólnej różnicy, jaką byśmy może znaleźć się spodziewali między tem jego badaniem a pracami tych uczonych, co dotychczas tym samym przedmiotem ze stanowiska filologicznej filozoficznej i historycznej krytyki więcej się zajmowali. Autor wylicza wprawdzie znanych mu pisarzów którzy „Hippiasa“ krytycznie rozbierali, ale w tym niby literacko-krytycznem wstępie (p. 3—5) poucza nas tylko jak najogólniej o samym tym fakcie jedynie, że jedni z tych krytyków, byli za autentycznością tego dialogu, a drudzy uważali rzeczone pismo za później podsunięte tylko pod imię mędrca greckiego, przez jakiegoś mniej zręcznego naśladowcę. Z wyjątkiem bowiem jednego mniej ważnego punktu o świadectwie Aristotelesa (p. 2—3) nie dotyka tutaj pan Samolewicz ani jednem słowem powodów, dla których ci badacze byli tak wręcz przeciwnych zdań, same pisma ich jednak po większej części dokładnie cytuje. Ale ze słów autora nie można się dowiedzieć, ani czy badania dokonane w tej mierze przez Niemców są w ogóle niedostateczne, czy też w poszczególnych tylko względach, ani też czy kwestję tę z nowego jakiego punktu widzenia traktować należy. W ogóle nie usprawiedliwia p. S. umiejętnie niezbędnej—przynajmniej w części—potrzeby, podjęcia przez siebie nanowo tej sprawy, mimo swych licznych na tem polu poprzedników, lecz podając za powód swej pracy nie wyłuszczoną bliżej „niezgodność“ ich zapatrywań“ (p. 5; cf. p. 1) „przechodzi wprost“ do szczegółowego rozbioru w mowie będącego dialogu, który o pięknie rzecz czyni. Wynikiem zaś całego badania ma być to, że „Hippias większy“ nie może żadną miarą uchodzić za utwór Platona (p. 23).

Ale nam nie chodzi o ten w istocie rzeczy prawdopodobny tylko rezultat. Nas zajął w całej tej rozprawie jedynie nie wyjaśniony otwarcie przez samego autora wspomniany jego stosunek do dawniejszych w tym przedmiocie badań niemieckich. Powstało akim sposobem zagadnienie wzbudzać musi tem większe zajęcie w uważnym czytelniku, który już po pierwszem przeczytaniu pracy pana Samolewicza dostrzeże najpierw, że w wielu miejscach (pp. 2, 3, 4, 5 tylko u dołu, 6 w górnej połowie, 7 w ostatnich wierszach, 10 u dołu i cała 17 do większej połowy 18) ma ona w mniejszym lub w większym stopniu naoczną cechę jawnej kompilacji. Ztąd mimowolne pytanie: czy też przypadkiem oprócz tej widocznej, nie ukrywa się tu jeszcze inna, nigdy nie dozwolona kompilacja w takich pracach, które mają nu celu postęp nauki. I — niestety! Po dokładnem źródłowem zbadaniu rozprawy pana S. rzecz się wyjaśnia na największą niekorzyść autora, gdyż praca jego staje się tylko popularnym mniej więcej wykładem sprawy, już dawno tak dostatecznie zbadanej, że nowsi pisarze, jak np. Brandis (Geschichte der Entwickelungen der gr. Phil. etc. Berlin 1862. I. p. 285) lub Schaarschmidt (Die Sammlung der Platonischen Schriften zur Scheidung der echten von den unechten untersucht. Bonn 1866. p. 157—159) uważali za rzecz już całkiem zbędną bronić prawdziwości tego dialogu.

Skoro więc p. Samolewicz — nie wiemy z jakich właściwie powodów — powziął już zamiar, pisać na nowo o tak dalece wyczerpanym już przedmiocie, dziwić się przeto bardzo nie należy, że koniecznie posługiwać się musiał w tym względzie wyłącznie uznanemi już za gruntowne obcemi studjami: inaczej mógłby był takowe znów wstecz cofnąć. A z obawy zapewne także przed tą ewentualnością, nie odważył się autor w całej swej rozprawie dodać literalnie ani jednej własnej myśli, któraby rzecz całą jużto z filologicznej, już z filozoficznej strony w nowym jakim punkcie nam odsłonić zdołała.

Na dowód, że nie przesadzamy, raczą ci ludzie, którym chodzi o sławę polskiej umiejętności, nawet z niezbyt wielką filologiczną ścisłością porównać z pismem autora jedynie następujące dzieła, a i to tylko w oznaczonych miejscach:

1) Fr. Schleiermacher, Platons Werke. 2te Aufl. Berlin, 1826. Th. II. Bd. III. p. 405—409.

2) Fr. Ast, Platons Leben und Schriften. Leipzig, 1816. p. 258—280.

3) J. Socher, Ueber Platons Schriften. München, 1820. p. 215—225.

4) G. Stallbaum, Platonis opera omnia, recensuit et commentariis instruxit. Gothae et Erfordiae, 1833. Vol. IV. sect. II. p. 147—159.

5) A. Arnold, Platons Werke einzeln ercklärt und in ihrem Zusammenh ange dargestellt. Erfort, 1836. p. 268—299.

6) K. Fr. Hermann, Geschichte und System der Platonischen Philosophie. Heidelberg. I. p. 480; 485—489; 647—651.

7) H. Müller—K. Steinhart, Platons Sämmtliche Werke übersetzt und mit Einleitungen begleitet. Leipzig. 1850. I. p. 39—52; 88—90.

8) E. Zeller, recenzja wymienionego pod 7) wydania dzieł Platona, w czasopismie: Zeitschrift für Alterthumswissenschaft. Herausgegeben von F. Bergk und J. Caesar. Cassel. 1851. Nro 32 und 33 p. 256—259.

9) G. F. W. Suckow, Die wissenschaftliche und künstlerische Form der Platonischen Schriften in ihrer bisher verborgenen Eigenthümlichkeit dargestellt. Berlin. 1855. p. 50, 53, 54, 61, 168, 172—173.

10) E. Munk, Die natürliche Ordnung der Platonischen Schriften. Berlin, 1857, p. 148—155.

11) Fr. Ueberweg, Untersuchungen über die Echtheit und Zeitfolge Platonischer Schriften. Wien, 1861, p. 142—143, 195.

W końcu zaś do szeregu tego, dodać jeszcze musimy przytoczone już wyżej bardzo gruntowne dzieło Schaarschmidta, które jednak krytyk pana Samolewicza będzie już musiał prawie całkiem przeglądnąć, gdyż nasz autor nietylko zapoznaje się ztąd z całym nowszym stanem badań platońskich i odnośną literaturą,*) ale przyswaja sobie ztąd nawet pojedyńcze wyrażenia i zwroty; a gdziekolwiek mówi on ogólnie w charakterystycznych własnościach Platona, także na piśmie tem tajemnie polega — głównie zaś porównać należy z rozprawą pana Samolewicza te uwagi, które Schaarschmidt w swym rozbiorze „Hippiasa mniejszego“ (p. 382—390) uczynił o niewłaściwej także i w tym dialagu roli Sokratesa.

Z wymienionych tedy dzieł zaczerpnął autor z największą skrzętnością całą swoją erudycję i wszystkie krytyczne spostrzeżenia. Śmiesznością jednak byłoby z naszej strony nawet wobec najciekawszych czytelników wszystko to szczegółowo tutaj rozwijać. Ale, ażeby wam bezwzględni wielbiciele pewnych wielkości, znowu zarzucić nie chcieli, że piszemy „dla popisu, nie dla dowodzenia prawdy,“ dla tego podamy zaraz na powyższe twierdzenia, kilka jaskrawych dowodów, które już nawet same dosadnie wykazać potrafią, że niniejsza rozprawa jest rzeczywiście wspomnianą modyfikacją plagiatu.

Przeciwstawiając siebie kilku badaczom niemieckim powiada autor na str. 20..... „Co do mnie sądzę, iż tylko wtedy w jednem z tych określeń (piękna) należałoby upatrywać przewodnią myśl dialogu, gdyby autor nic dodatniego w całem dziele nie umieścił. Jeżeli jednak da się wykazać stały punkt oparcia, przez nikogo nie zaczepiony, natenczas wobec tych różnorodnych twierdzeń i domysłów całą baczność nań skierować należy. A taki punkt stały znajduje się w dialogu, choć wielu uczonych wcale go nie spostrzgło lub tylko mimochodem*) o nim wspomnieli: jest żaś nim twierdzenie, że piękno a dobro jest pojęciem identycznem (!) Owa myśl, iż piękna żadną miarą od dobra oddzielić nie można, jest aż trzy razy w dialogu powtórzona: (Tu następują cytaty, o które nie trudno w dialogu, objętym w kilkunastu kartkach). Potrójne uwydatnienie (czy ściśle dialektyczne?!) tej samej myśli nie może być przypadkowe: owszem Sokrates wypowiada wymownie, iż określenie piękna musi polegać na identyczności piekna i dobra. To zapatrywanie, które podzielali wszyscy Helenowie łącząc w wyrazie καλοκαγαθια oba pojęcia w całość, jest ściśle Platońskie, przyczem atoli między zwykłem codziennem zapatrywaniem a Platońskiem ta zachodzi różnica, iż pierwsze dobro opierało się na pięknie, a drugie piękno do dobra sprowadzało. Za dowód niechaj posłuży Phil....., choć w każdym niemal dialogu możnaby tego rodzaju twierdzenia wyszukać. Jeżeli jednak ostatecznym wynikiem (czy dialektycznym?) całego poszukiwania o istocie piękna ma być ów wcale nie nowy i wszyskim znany pewnik, że dobro a piękno jest identyczne, to zaiste wyznać (p. 21) musimy, że jest-to pewnik nadzwyczaj mały i wcale niepochlebny dla autora każdego a tem bardziej dla Platona, który w innych dialogach nie mających za jedyny cel zbadania istoty piękna, tak wzniosłe i obszerne dziedzinie piękna wytknął granice. Czyż dialogi jak Phaedros, Gorgias, Portagoras, Symposion i Philobos nie doprowadziły pod tym względem do daleko donioślejszych rezultatów?..“

Prosimy teraz bardzo uprzejmie porównać cały powyższy ustęp z dzieła lwowskiego badacza z następującem miejscem podanem dosłownie z Sochera: l. c. p. 219: „Die Idee des Schönen musste Platon bei seinen philosophischen Forschungan aufstossen: das Wort schön umfasste bei den Hellenen nicht nur das (p. 220) Natur- und Kunstschöne, sondern auch das Moralisch-Schöne; es bezeichnete Alles, was edel, lob- und beifallswürdig war: schön und gut floss in einen Begriff zusammen (καλοκαγαθια). Nun giebt uns zwar der Dialog Hippias nur die Grundlage zu einer Bestimmung des Schönen: es soll eine allgemeine für leblose Wesen und Thiere, für Menschen und Götter, für Handlungen der Einzelnen und Anordnung des Staates geltende Vorstellung sein: die weiteren Resultate sind aber nur negativ. Getrennt vom Guten darf das Schöne nicht werden, dies ist das einzige Positive, worauf am Ende hingiewisen wird.

---

*) Dlatego też nie zna autor zupełnie najnowszych w tym przedmiocie prac, które wyszły już po dziele Schaarschmidta (1866).

*) Czy zarzut taki uczyniony niemieckim pisarzem z prawdą jest zgodny, proszę zobaczyć oprócz tego, co jeszcze w tekscie podamy, szczególniej Munka l. c. p. 149 u dołu zdanie napisane aż roztąpionemi głoskami!

Allein sind wir das beim Platon nicht gewohnt? Giebt sein grosser Dialog Theaitet ein anderes Resultat, als was die Wissenschaft nicht sei? Dies ist der Gang eines selbsterfinden den nicht nachsprechenden Forschers, zuerst zu fragen, was ist das Schöne nicht. „Das ist aber wenig". Wartet nur! Seid nicht voreilig: Gordias, Philebos, der Gastmahl, werden euch schon mehr sagen!!!"

Z taką samą najwyraźniejszą pretensją do samodzielności, jak w wyświeconym właśnie powyższym wstępie, mówi autor także na str. 22. .... „Co do wnie nie mogę przystąpić do powodów, które przytacza Stallbaum na udowodnienie swego twierdzenia. Mianowicie nie mogę się zgodzić na to, jakoby w dialogu nie było śladów nauki o idejach. Owszem kilkakrotnie (286, D. 288. A. 289, C. D. 292, D.) znajdujemy wyrażenia przypominające znawcy naukę o idejach, jako to: αὐτὸ τὸ καλλος (?), καλλος αὐτο;....; temu bezwzględnemu pięknu przeciwstawia Sokrates względną piękność, która być może i piękną i brzydką. To piękno jest zupełnie oddzielne od poszczególnych przedmiotów pięknych, ma istnienie rzeczywiste co właśnie uwydatnia dodatek αὐτο. Że ten dodatek uwydatnia częstokroć ideję, dowodzą następujące przykłady: W Rzeczyposp. V. 479, A..... Zestawiając to wszystko przyjść musimy do pewności, iż w razie uważania dialogu za Platoński odnieść go musimy do owego czasu, kiedy teorja idei była już ujęta w system i powszechnie znana. Nie możemy bowiem zgodzić się na zdanie Steinharta, jakoby w tym dialogu mieściły się dopiero niejasne zarodki kiełkującej jeszcze w duszy Platona nauki o idejach; owszem znajdujemy tutaj już tę naukę w rozkwicie...."

Zaglądnijmy znów teraz do wymienionej wyżej recenzji Zellera, z której w ogóle autor prawie każde słowo dla siebie wyzyskać potrafił, a znajdziemy tam także źródło i tej tak chełpliwie co moment podnoszonej oryginalności naszego krytyka. Zeller mianowicie pisze: l. c. p. 258. „Wenn Sokrates hier wiederholt (286, D. 288. A. 289, C. D. 292, D) von dem αὐτὸ τὸ καλον, dem καλλος αὐτο redet durch welches Alles andere erst schön werde, und wenn er diesem an sich Schönen dasjenige entgegensetzt, was ebensowohl hässlich als schön ist, so ist das ohne Zweifel nicht bloss, wie Steinhart will, ein Keim der Ideenlehre, zu dem schon die Sokratische Begriffsentwickelung hinführen musste, sondern die Ideenlehre selbst: auf Sokratischen Standpunkt befinden wir uns nur, so lange die allgemeinen Begriffe zwar als das Ziel unseres Wissens, aber nicht als das substanzielle Wesen der Dinge dargestellt werden: hier dagegen ist der Begriff des Schönen offenhypostatirt (eben dies drückt der Beisatz αὐτο aus) und als für sich seiende Substanz von dem einzelnen Schönen unterschieden, wie dies sogleich in die Augen fällt, wenn man mit den angeführten Stellen des Hippias die ganz ähnlich lautenden Erklärungen Rep. V. 479. A. Symp. 210. E. und ähnliche zusammenhält. In den Zeitpunkt aber, als Plato in der Ideenlehre sein eigenthümliches Prinzip entwickelt hatte, könnte er eine Schrift wie den Hippias in keinem Fall mehr geschrieben haben...."

Przetłómaczywszy więc wolno cały ten ustęp Zellera i uzupełniwszy go małemi dodatkami zkądinąd, mówi zaraz potem sam bez wszelkich jednak bliższych określeń, że „dla tych powodów, przytoczonych już w wielkiej części(!) przez Arnolda i Zellera, należy przyznać autorowi (dialogu) zupełną znajomość nauki o idejach, a w tem przyznaniu zawiera się zarazem zaprzeczenie możliwości umieszczenia tego djalogu w poczcie pism młodocianych Platona." (p. 23.) Znany to sposób wprowadzania w błąd poczciwych czytelników.

W końcu także jeszcze na przykładzie okazać nam wypada, że tą samą drogą kompilacji doszedł autor bezpośrednio lub pośrednio do gruntownej na pozór znajomości cytowanych autorów starożytnych i innych dzieł Platona, z któremi zestawić badany djalog gdzieniegdzie konieczna była potrzeba. Na str. 19—20 mówi autor: „...daleko obszerniej i dosadniej zajmuje się tem pytaniem Philebos, w którym (51 i nast.) wykazane jest pokrewieństwo zachodzące między pięknem a przyjemnością i podana przyczyna, dlaczego wzrok i słuch za przedniejsze zmysły uważać należy." W przedmowie zaś do podanego wyżej Stallbauma wydania Hippiasa czytamy na str. 157 dosłownie: „...quae qualis fuerit, ...planius etiam e Philebo p. 51 sqq. perspicitur, quo loco copiose de pulcri et voluptatis necessitudine disseritur, simulque etiam illud explicatus, cur visus et auditus, pro sensibus divinioribus sint habendi."

Gotowi zawsze do naukowego, lecz tylko naukowego sporu z autorem, ograniczamy się na tych tylko przykładach tak nieslychanego lekceważenia krytycznych badań nad dziełami największego filozofa greckiego. Rozprawa p. Samolewicza napisana po niemiecku mogłaby tylko uchodzić za satyrę na „Studja Platońskie" Zellera lub Bonitza.

Smutno to bardzo, że dzisiaj nawet w tak idealnych rzeczach, jak umiejętność, nie można się spuścić na sumienność ludzi. Starsi nasi uczeni, którzy prawdziwą pracą i niezłomną wytrwałością dobijali się zwolna sławy naukowej, nierzetelności w tej mierze nawet przypuścić nie byliby zdolni. Ztąd to pochodzi, że kompilacja ta przywdziana w wszelkie pozory samodzielnego badania, dostała się aż do Pamiętnika naszej Akademji.

Dr. A. Skorski.

Kronika Paryska.

II.

Paryż d. 30. Października 1874.

Pierwszy lepszy, choćby tak naprzykład, jak niewiara małżeńska, oklepany temat do dramatycznego włożywszy rondelka, mniej lub więcej korzennym intrygi podlać go sosem; dodać uncję dowcipu, dwie efektowności, trzy tłustych dwuznacznych żarcików; roztopić wszystko w kilku funtach czczej lecz gładkiej paplaniny (marivaudage) i obliczając na gapiowstwo (badauderie) publiczności, tym sposobem usmażoną potrawkę gorąco, z pieca, na ładnym, złoconym podać ją półmisku — oto zdaje się być receptą, której trzy czwarte spółczesnych dramaturgów tutejszych nauczyło się na pamięć i według której sporządzonemi przysmakami od dość już dawna, drażni nam podniebienie...

Byleby się sztuka trzymała, mniejsza o to czy kuleje, byleby kilkadziesiąt siak tak przeżywszy wieczorów, dyrektorowi teatru wyłożone nań powróciła koszta, a autorom nie szpetną sumką wypchała kieszenie, mniejsza oto, iż nic z niej, ni chwilowego pięknem rzeczy wywołanego wzruszenia ni „Castigat ridendo mores," ni karcącej obyczaje a zdrowem ziarnem na przyszłość służyć mogącej satyry.

Tak jest, tak niestety! Merkantylny, kupiecki duch wieku i do cichej artyzmu zaleciał świątyni, i Talja i Melpomena (że się klasycznym wyrażę stylem) i Talja i Melpomena grając na giełdzie, spekulując na dobrą wiarę widzów, pod świetną zewnętrznych przyborów: kostjumów, dekoracji, (mise en scene) jednem słowem pokrywką, liczne a fałszywe podsuwają im walory.

Tak jest, tak niestety! Wejdźcie proszę do kawiarni, klubu, restauracji (Brébant, Véron, Café de Suede) gdzie się dyrektorowie teatrów i autorowie dramatyczni na wieczorne z sobą schodzą pogadanki. Usiadłszy obok, przysłuchujcie się ich rozmowie. Nie uprzedzeni myśleć byście mogli, iż was przypadek w przemysłowców, handlarzy jakichś pomieścił kole.

„La pièce de X. fait 6.000 francs tous les soirs" odzywa się jeden „C'est une splendide affaire!" „Il n'etait que temps" odrzuca drugi; „Grâce à la chute de deux ou trois dernières il courrait tout droit a la faillite". „Concluons!" odzywa się jakiś widać piśmienny do grubego obok finansisty „Je Vous offre une superbe machine (sic!) en 4 actes. Vous m'en direz de nouvelles. 300.000 francs de recette, ou je donne ma langue aux chiens!" „300.000 francs! c'est bientôt dit et moyennant quoi s'il vous plait?" 12% et une prime." „A d'autres! Mon cher amie! „Renoncez à la prime et nous venons peutetre!" etc. itd. O treści, o dążnościach sztuki, jak widzicie, ni słowa. Te ostatnie stosownie do okoliczności mody jak kameleon mienią się jaki. Byleby „Pani Anastazja" (tak tu plebs literacka nie wiem dla czego cenzurę nazywa) byle by „Pani Anastazja" patrzyła przez szpary. Sztuka ta wyśmiewać będzie religię, własność, familję, jeśli wiatr z radykalnej powiewa strony, wolność, równość, braterstwo jeśli chorągiewka na dachu pod reakcyjnym kręci się podmuchem.

Dyrektorowi teatru, jakem rzekł wyżej, o to mniejsza, zadaniem jego nie jest moralizować społeczność: zadaniem jego nie jest podnosić w niej kulturę ducha, zamiłowanie piękna i t. d. Zadaniem jego jest po latach kilkunastu, czy kilkudziesięciu, krągłą sobie uciuławszy fortunkę, zwinąć przedsiębiorstwo, ustąpić je drugiemu i siadłszy gdzieś na wsi w okolicach Paryża (raj marzeń mieszczańskich) pożywne hodować jarzyny.

Jeśli w ciągu dyrektorskich funkcji trafi przypadkiem na jakieś podnioślejsze dzieło, na jakąś sumienniejszej treści literacką produkcję — to dobrze! Nie? Drugie dobrze! Kwestja to dlań podrzędna i rozwiązanie jej dodatnie czy ujemne, nie ziębi go ani grzeje, ani na karb błędów, ani na karb zasług jego policzonem być nie może. Za materjalnym li goniąc zyskiem, jeśli tam i ówdzie i moralne jakie uszczknie wawrzyny, to uczynił, jak ślepa kura owa — przypadkiem. Powyższe słowa odnoszą się zwłaszcza do prywatnych przedsiębiorstw teatralnych, jakich w ostatnich latach cesarstwa, od czasu przejścia prawa o wolności teatrów (liberté de théatres) namnożyło się tu bez liku. Teatra uprzywilejowane (Narodowe, cesarskie, królewskie) „Comedie Française" lub „Odeon" naprzykład otrzymując subwencję rządową i pod bezpośrednią ministerjum sztuk pięknych zostając kontrolą, muszą w pewnej mierze oglądać się na dobór sztuk i literackie ich znaczenie w teatrach tak zwanych miejskich, eksploatacja których dostępną jest każdemu, kto tylko odpowiednim rozporządza kapitałem i na ten cel użyć go pragnie. W teatrach tak zwanych miejskich, gdy i tego ostatniego braknie hamulca, zmysł kupiecki panując wszechwładnie z własnym się tylko obrachowuje interesem i w miejscach poświęconych sztuce istotnie jakich by to nie było, byle popłatnych dziwolągów zakłada kramy.

A autorowie? spytacie.

Autorom, przeważnej przynajmniej ich większości, na rękę z tem i wygodnie. Do rzemieślniczej, spekulanckiej należąc literatury, trzymając się zasadniczej handlarskiej aksjomy, iż konsumentów zadawalniać potrzeba, autorowie dają to, czego od nich płacąca wymaga publiczność, i dają tem ochotniej, iż z małym wysiłkiem inteligencji, z drobną czasu i pracy ekspensą, zarabiają w dwójnasób, i że tanim kosztem na szczyt się drapiąc wziętości (nie sławy, bo o tej i mowy być nie może) i dobrobyt materjalny otrzymują jeszcze w dodatku.

Dużoż jest takich, co by się przed podobnym skrzywili rezultatem? Paradoksalnem zapewne byłoby życzenie powrotu do czasów, w których sztuki piękne prócz sławy żadnego innego nikomu nie przynosiły dochodu. Krzyczącą niesłusznością byłoby skazywanie na nędzę pracowników myśli, gdy ci, co pracę ich potem bezmyślnie przeżuwają, niezasłużonym nieraz cieszą się dobytkiem. Kto wie jednak, czy z tego apostołów jej pokrzywdzenia, religja piękna istotnej nie wyniosłaby korzyści. Nic prócz jednej sławy niemając przed sobą w perspektywie, artysta jak dawniej pracowałby tylko dla sławy, a to trudniej niż pieniądze wyszachrowywać i wyłudzać się pozwala.

Zawód artystyczny usiany cierniami, nęcąc wyższe, wznioślejsze tylko natury, miernostek i intrygantów przestałby być jarmarkiem. Tracąc na ilości, zyskalibyśmy na jakości. Kapitał umysłu ludzkiego, miast się na miedziaków rozdrabiać kupy, w kilku czy kilkunastu szczerozłotych przechowany sztukach, rdzawym czasu broniąc się plamom, lepsze by tam w przyszłość o wartości naszej poniósł świadectwo i śmielej na prawnuków liczyćby mógł uznanie.

Paralela przeprowadzona między czasami Szekspirów i Molierów, którzy, dyrektorowie trup teatralnych, autorowie i aktorowie zarazem, zaledwie na kęs powszedniego chleba zarobić byli w stanie, a chwilą obecną, w której lada Scribe lub Sardou tak po kilkunastu latach powodzenia miljonową składa fortunę; paralela taka przeprowadzona sumiennie i bez stronniczych dla epoki, w której żyjemy umizgów, nie jednego ufam, o względnej przynajmniej sprawiedliwości słów powyższych przekonaćby zdołała. „Co kraj" zresztą „to obyczaj" z konieczną pośpieszamy restrykcją. Absolutnej, wszędzie się zastosować dającej prawdy nie odszukać na tym świecie. Społeczność Polska, wcale zbytnią dla literatów swych

nie grzesząca hojnością tego, com tu powiedział, nie inaczej jak tylko postronnej gawędy słuchać ma prawo, i dużo jeszcze wody Wisła zaniesie do morza, zanim powyższe słowa i u nas na siakie takie do prawdy zdobędą się podobieństwo.

„Gilberte“ nowa komedja pp. Gondinet i Deslandes, którą teatr „Gymnase“ niedawno zimową rozpoczął kampanję — „Gilberte“ bezspornie do tylko co ogólnikowie określonych, dramatycznych należy produkcji. Ktoś, co by ją zupełnie złą być osądził, za srogim, za wymagającym byłby krytykiem. Ktoś coby w niej jakiegokolwiek dla serca, lub umysłu zamierzył szukać pokarmu, na głodne by się naraził wieczory. Moralnej wartości żadnej, scenicznej prócz gładkiego djalogu nie wiele. Kilka efektownych ustępów, parę typów niby to udatnych, więcej sadzenia się na dowcip niż dowcipu samego, więcej manier niż natury, oto wszystko, cała sztuka. Napisać podobną mógłby każdy zręcznie władający językiem, a ożyty w tym błyszczącym świecie stolicy, który najmniej nawet do badań skłonnemu umysłowi krocie różnorodnych przedstawia wzorków. Napisać podobną mógłby każdy nie wysilając się zbytecznie i nie wyczerpując wszystkich imaginacji swej zasobów.

Z tem wszystkiem, świetnie odegrana (na scenie „Gymnase“, po „Komedji francuskiej“ pierwszej dziś w Paryżu, a nawet pod pewnemi względami tamtą przewyższającej, na scenie „Gymnase“ inaczej być nie może) świetnie odegrana, przez doborowych artystów (panna Delaporte w tytułowej roli), elegancją dekoracji i przepychem strojów damskich, jak gdyby parą mocnych podparta szczudeł —„Gilberta“ nie źle się widzów przedstawia oku i albo bardzo się mylę, albo pomimo wszystkich swoich niedostatków 50 lub 60 jak nic przeżyje wieczorów. 50 lub 60 wieczorów (ciekawej nieco statystyki i kilka popierających ją wybaczcie mi cyfer.) 50 lub 60 wieczorów po 3.000 fr. wieczór (norma nieprzesadzona) uczyni 150 lub 180.000 fr., z których autorowie 10 biorąc procent (co najmniej) 15, lub 18.000 fr. schowają do kieszeni. Za miesiąc pracy (przypuszczam i dalipan że przypuszczam nie mało) za miesiąc pracy dość to sowite jak widzicie wynagrodzenie i niejednego do klecenia podobnych utworów, do poświęcenia się tak zyskownemu zawodowi pokusić zdolne.

Mnoży się więc pismaków grono. „Towarzystwo“ tak zwane „Literackie“ paręset zaledwie członków liczące niedawno, parę ich obecnie liczy tysięcy. Nie wszyscy zapewne marzonem cieszą się powodzeniem. Nie wszyscy dostateczną ilość wytrwania a cierpliwości, dostateczny zasób protekcji mają i intrygi, by dojść do celu, by owładnąć jednym teatrem jedną wydawcy jakiegoś ufnością. Wielu z nich upadnie zapewne niedostatkiem woli lub zbytkiem godności na sukcesów złamanych ścieżynie, lecz ci co dojdą (najmniej czasem zasłużeni), lecz ci co dojdą, byleby pisać chcieli, byleby im czasu na to starczyło, ani na brak miejsca do popisu, ani na niepopłatność trudu, poskarżyć się nie będą w stanie. Pierwszy krok zrobiony, siaka taka wziętość, wstępnym bojem, lub podziemną zyskana intrygą, tego dosyć, utorowana droga dyrektorów, nakładców pobłażliwych znajdzie się bez liku; a Paryżanie istni potomkowie plebsu rzymskiego, który nawet w czasie głodu „Panem“ zwykł był krzyczeć „et circenses!“ a Paryżanie, którzy nawet w czasie komuny, teatralnych nie wypróżniali przybytków, a Paryżanie, powiadam, wszystko przyjmą i za wszystko hojną zapłacą dłonią.

Czyż wam treść sztuki opisywać będę? Nie sposób zapewne, zupełnem pominąć jej milczeniem, a boję się by z dodatkowych ogołocona przyborów zupełną się wam nie zdala nicością, czemś co straty czasu usprawiedliwić nie może. Pan hrabia de Guerche, hulaka paryski, czwarty zaczynający krzyżyk, ustatkowuje się i poślubia młodą, na prowincji wychowaną, dziedziczkę dużego majątku, pannę Gilbertę de Rhuys. Zmuszony wskutek jakichś tam interesów, do długiej zaraz po ślubie podróży, urządzenie domu na zimę w Paryżu poleca teściowej swej, przejrzałej już lecz trzpiotowatej jeszcze i lekkiej kobiecie. Ta ostatnia w Hotelu Druot (Hotel sprzedany z publicznego targu) nabywa wspaniałe meble niejakiej margrabinej d' Orbecca, która opuszczając Paryż, wszystkie tam swoje likwiduje ruchomości.

Trzeba przypadku (na którym jak na ostrzu szpilki cała się okręca komedja) trzeba przypadku, iż margrabina d' Orbecca sui temporis w czułych z hrabią de Guerche zostawała stosunkach.

Po odbytej podróży, wracając do Paryża, pan de Guerche zastaje żonę instalowaną w meblach, które mu rzecz naturalna, na każdym kroku, burzliwą młodość i dawne przypominają szały.

Kto inny w takiem położeniu żonie się do przedślubnych przyznając grzechów, sprzedałby meble i kupił inne; pan de Guerche nic nie mówiąc zostać z niemi woli. (Rzecz naturalna inaczej sztuka nie miałaby miejsca.) Pan de Guerche zostać z niemi woli i posępnem tylko obliczem, a mniej lub więcej patetycznemi na stronie wykrzykami, niepokój dręczonego wyrzutami zdradza sumienia.

Gilberta (zazdrośna, o czem się dopiero tutaj słuchacz dowiaduje) zdziwiona zmianą w mężowskim humorze, powoli, powoli, do gruntu docieka rzeczy. Następują sceny zazdrości półtora z górą zapełniające aktu, a po nich w skutek pojedynku (Deus ex machina) Pana de Guerche z młodym adwokatem, niepomnę nazwiska, który niewiem po co i na co w treść sztuki wplątany, dojrzałą teścinę umizgami swemi kompromituje; a po nich wskutek tego pojedynku uścisk comme de raison zgody, przeprosiny i naturalnie sprzedaż nieszczęśliwych mebli, od której rzecz by zacząć należało.

Morał: Nie miej kochanek przed ślubem, lub jeśliś je miał to nie kupuj sprzedawanych przez nie mebli. Gardło stawię, iż największy szperacz nic tam więcej znaleźć nie potrafi. Ot i cała sztuka licha, jak widzicie chwiejna, bez myśli, gdyby nie kilka zabawnych oderwanych ustępów, gdyby nie gładki język, gdyby nie wyborna gra aktorów (szczególnie) najlżejszej krytyki wytrzymać nie zdolna, gdzieindziej zatem jak w Paryżu, prawie że niepodobna, a w Paryżu znośna. Wychodząc z Gymnase, gdzieśmy nadspodziewanie długą zasiedzieli się gościną, rzućmy okiem ku innym teatrom, które październik z letniej obudził drzemki. „Opera“ Adelinę Patti na kilkanaście zaangażowawszy przedstawień „Hugenotów“ lub „Fausta“ daje na przemiany. „Porte St. Martin“ oczekując nim mu dekoratorzy wszystkich do nowej feerji (feerie) „Le tour du Monde“ nie wykończą przyborów, tymczasem z popiołów zapomnienia stary Kazimierza Delavigne wygrzebał dramat „Don Juan d' Autriche“ i przed na poły pustą daje go salą. W „Variétés“ pani Sznejder schrypłym od starości głosem znanej dawno Offenbachowskiej operetki „La Périchole“ wywodzi trele. „Teatr Francuski“ odgrzewa „Une chaine“ Scribe'go, a „Odéon“, „La Jeunesse de Louis XIV.“ Dumas'a ojca. „Les folies dramatiques“ nakoniec niewyczerpanem „Córki Pani Angot“ żywią się powodzeniem.

Jak widzicie oprócz tylko co opuszczonego „Gymnase“ i „Vaudeville“, który wczoraj pierwsze nowej komedji pana Rifiere pod tytułem „Berthe d' Estrée“ dał przedstawienie, nic dotychczas nowego, nic o czemby wam mówić warto było i trzeba.

Wspomniałbym o benefisie na korzyść odwiecznej „Dejazet“, lecz w jednym z niedawnych numerów „Tygodnia“ kolega mój, autor „Pogadanek“ uprzedził mię w tej mierze. Poprzestając więc na drobnem sprostowaniu zrobionej tam przez niego wzmianki: przedstawienie benefisowe odbyło się nie w „Théâtre Français“ a w dawnej sali Teatru włoskiego salą „Ventadour“ przezwanej, niem to zbyt już długie z widowisk tutejszych zamknę sprawozdanie.

Gdy niedociągnięty do miary list niniejszy, czemś mi jeszcze dopełnić wypada, skorzystam z czasu i z miejsca by wam o jednej tu polskiej na dobrą notatkę zasługującej gawędzić osobistości.

Książe Józef Lubomirski, kilkoma z rzędu w odcinkach dzienników i po za ich obrębem publikacjami, bardzo tu sobie niczego w literackim świecie wyrobił stanowisko.

Jeśli wam jednak o nim mówić zamyślam, to nie tyle ze względu na talent jego (talent to albowiem, według mnie przynajmniej, trzeciej zaledwie lub czwartej wody) ile ze względu na okoliczności, które go na pracy skierowały drogę, i które bardzo moralnym, bardzo budującym dla wielu służyć mogą przykładem.

Wychowany w zbytkach, dziedzic niegdyś miljonowej fortuny, hulaka, (przy takich warunkach, któż nim choć trochę nie jest za młodu) pewnego dnia, raptem, znalazł się na bruku paryskim, bez grosza, bez środków do życia, bez pomocy ze strony rodziny, która się od marnotrawcy nierządnem życiem jego oburzona z wyraźną odwróciła niechęcią. Miast się wziąć do eksplotacji innych (jak to niestety czyni wielu), miast kosztem drugich przysporzyć sobie choć kilka lat jeszcze motylego, błyszczącego żywota, miast wreszcie bogatym ożenkiem z miljonową jaką mieszczaneczką (tytuł książęcy to wielka ponęta) dalsze bytu swego pozłocić koleje: rodak nasz wolał nie zawdzięczając nic nikomu, własnemi siłami powstać na nogi, o własnych siłach odrodzenia się rozpocząć dzieło.

Z godną rzeczywiście szacunku odwagą, trudnej, zwłaszcza z początku, dla cudzoziemca za granicą, literackiej poświęcił się karjerze.

Wychowaniec niegdyś korpusu Paziów w Petersburgu, przechowane ztamtąd wspomnienie, w jedną ugrupowawszy całość w odrębnym, pod tytułem: „Souvenirs d'un page de l'empereur Nicolas“ wydał tomiku.

Tomik ten, łaskawie od tutejszej przyjęty publiczności, ułatwił mu współpracownictwo w kilku mniej więcej znanych, mniej więcej płacących, perjodycznych zbiorach i dziennikach, jak: „Correspondent“, „Gaulois“ i t. d.

W „Gaulois“ cały szereg obrazków z życia i z natury Rossji pod pseudonimem „Hrabiego Dymitra“ opublikowany utrwalił do reszty pierwsze jego chwiejne zatem na tej drodze kroki.

Odtąd coraz to szersze literackich swych czynności zakreślając koło, młody pisarz dwa inne tomy „Scenes de la vie militaire en Russie“ i „Fonctionnaires et boyards“ wydał z kolei.

Obecnie „Paris-Journal“ wielki romans jego „Chaste et infame“ w odcinku swym ogłaszać zaczyna.

Uczciwa jednem słowem i wytrwała praca, straconych mu zapewne nie oddała miljonów, lecz daje mu możność wygodnej egzystencji i ufnego w lepszą i korzystniejszą przyszłość, poglądu.

Spytany, czy chciałby wrócić do dawnego życia, do dostatków, zbytków i swawoli, pełnym zgrozy: Za nic! odpowie wam dziś wykrzykiem.

I dalipan! Ma rację!

Pozwólcie, iż na tej choć niezbyt oryginalnej i nowej, lecz arcy-moralnej za to poprzestając uwadze, Bożej was polecę opiece. Do zobaczyska

J. Chamiec.

Ze świata naukowego.

LOIKA W PRZYRODZIE

przez

Ludwika Wierzejskiego.

Przedmiot niniejszej rozprawki należy do najważniejszych zagadnień umysłu ludzkiego. Stanowi on podstawę wszelkiej ludzkiej wiedzy i umiejętności. Wszelkie bowiem poznanie i cała pewność jaką umiejętności dawać mogą, zawisłą jest przedewszystkiem od rozstrzygnięcia tego pytania, czyli umysł ludzki posiada warunki, aby mógł wrażenia otrzymywane przez zmysły od świata zewnętrznego, w taki sposób przetwarzać na wyobrażenia i pojęcia, aby te dawały nam wierny obraz tych przedmiotów od których wrażenia pochodzą. Powiedziałem że przedmiot ten stanowi podstawę wszelkiej wiedzy i umiejętności, ponieważ jeżeli umysł nasz nie posiada tych warunków o których właśnie mówiłem, lub jeżeli nie mamy pewności że je posiada, to w pierwszym razie całe nasze poznanie i cała nasza wiedza jest tylko złudzeniem, złudzeniem wprawdzie pięknem i zgodnem z sobą samem, ale ostatecznie przecie tylko złudzeniem; w drugim razie zaś obraz świata zewnętrznego powstały w naszym umyśle pomimo swej prawdziwości nie daje nam żadnej rękojmji tej prawdziwości.

Wszelkie nasze poznanie „rozpoczyna się od doświadczenia“, gdyż przedmioty zewnętrzne

robią przez nasze zmysły wrażenia na naszym umyśle i po części same przez się wytwarzają wyobrażenia, po części zaś pobudzają nasz umysł do rozróżniania, łączenia i porównywania tych wyobrażeń. Chociaż jednak nasze poznanie rozpoczyna się od doświadczenia, to z tego jeszcze nie koniecznie wynika, jakoby ono „w całości musiało pochodzić z doświadczenia", gdyż możebnem jest że nasze poznanie składa się z dwóch części, z których jedna ma początek w doświadczeniu, druga zaś pochodzi z własnej naszej władzy poznawania, przez wrażenia zmysłowe tylko do czynności pobudzonej. Zachodzi więc pytanie czyli istnieje takie od wszelkich wrażeń zmysłowych niezawisłe poznanie.

Takie poznanie nazywa się poznaniem „a priori" dla odróżnienia go od poznania „a posteriori", którego początek z wrażeń umysłowych wynika.

Zagadnienie to które obecnie stoi znowu na porządku dziennym w świecie przyrodniczo-filozoficznym, jest bardzo dawnem, sięga ono bowiem greckiej starożytności. Już Sokrates zajmował się tym problematem.

Sokrates pomimo że zbijał szorstką naukę subjektywistyczną Sofistów, mianowicie Protagorasa, który twierdził, że dla każdego człowieka jest tylko to prawdziwem co mu się jako takie okazuje, to jednak zaprzeczał jakoby istniał wyraźny związek między rzeczywistym światem i naszym umysłem i uważał nasze pojęcia jedynie jako podmiotowe. — Plato twierdził że w przedmiotach świata rzeczywistego tkwią idee czyli pierwowzory według których te przedmioty utworzonemi zostały. Te idee uważał jako będące tej samej natury co i nasze myslenie, upatrywał więc w przyrodzie pierwiastki umysłowe, a ściśle myślenie uważał jako odszukiwanie i poznawanie tych pierwiastków, a przezto także poznawanie przyrody z którą te pierwiastki są połączone.

Aristoteles twierdził że wszystkie nasze pojęcia mają swe źródło w zmysłowem spostrzeganiu. W nowszych czasach podniósł na nowo Locke ten problem i wywodził pojęcia rozumowe wyłącznie z doświadczenia, gdy jednak podobnie jak Aristoteles usiłował za pomocą tych pojęć robić badania przekraczające zakres wszelkiego zmysłowego spostrzegania, popadł w marzycielstwo.

Dawid Hume utrzymywał podobnie jak Locke że źródłem wszelkiego naszego poznania są wrażenia zmysłowe, uważał jednak jako niemożebne za pomocą pojęć rozumowych pochodzących z doświadczenia robić wnioski sięgające po za obręb tego co pod zmysły podpada — i popadł w zupełne zwątpienie, ponieważ mniemał iż odkrył, że to co nazywamy rozumem jest tylko złudzeniem naszych władz pojmowania.

Ostateczności w jakie popadli dwaj ostatni filozofowie spowodowały Kanta do zajęcia się tym przedmiotem, a owocem jego pracy na tem polu jest sławne jego dzieło: „Krytyka czystego rozumu". Jak Kopernik sprzecznie z powszechnem spółczesnem zdaniem, wykazał że słońce stoi a ziema około niego krąży, tak też Kant naśladując szczęśliwy pomysł naszego wielkiego rodaka starał się wykazać że: czas, przestrzeń, przyczynowość, jakość, ilość, celowość itd. które zwykle uważamy jako przedmiotowo zewnątrz nas istniejące, są wyłącznie podmiotowe (subjektywne) tj. w naszym mózgu zawarte. Uważał więc nasze poznanie za iloczyn dwóch czynników, z których pierwszym są wrażenia pochodzące od przedmiotów jako takich, drugim zaś przyrodzone czystego rozumu prawidła i normy myślenia, tak zwane kategorje loiczne. Z tego wywodził wniosek, że wyobrażenia nie dają nam wiernych lecz tylko zmienione przez czysty rozum obrazy świata zewnętrznego, że my zatem nie poznajemy rzeczy takiemi jakiemi one są w istocie, lecz tylko takiemi jakiemi się nam okazują. Kant nie zaprzecza wprawdzie bytu świata zewnętrznego, uważa jednak poznanie tegoż nie jako zbadanie jego istoty i jego wewnętrznego związku, lecz tylko jako poznanie subjektywnych prawideł myślenia. Według niego więc nie mamy żadnej pewności, czy świat jest rzeczywiście takim jakim się nam okazuje, a jedynie konieczność wyobrażenia go sobie przecie w jakiś sposób, zmusza nas do zadowolenia się tem, na co nas stać.

Z tego niezadowalającego położenia starał się filozofję wyprowadzić Hegel. Przypuszczał on tożsamość przyrody z naszem myśleniem, uważał przyrodę jako przedmiotowe pojęcie, z czego wnosił że samo myślenie bez spostrzegania wystarcza do poznania przyrody.

Pomijając wielu innych filozofów którzy w najnowszych czasach starali się rozwiązać ten odwieczny problem jak np. Stuart Mill, Benecke, Trendelenburg i inni, wspomnimy jeszcze tylko o Dr. Henryku Czolbe, lekarzu w Królewcu, który w dziele wydanem w r. 1865 w języku niemieckim pod tytułem: „Granice i pochodzenie ludzkiego poznania", chciał to zagadnienie w następujący sposób rozwiązać. Dr. Czolbe utrzymuje że przyroda złożoną jest z trzech części: z niedziałek (atomów), z postaci ustrojowych i „duszy świata" składającej się z czuć i uczuć i przenikającej wszystkie ciała. W tej duszy świata (która jednak nie jest bóstwem) znajdują się wszystkie możebne więc i przeciwne sobie uczucia w zwykłym stanie w równowadze i neutralizują się wzajemnie. Jeżeli jednak wskutek ruchu niedziałek w naszym mózgu spowodowanego przez wrażenia zmysłowe pochodzące od świata zewnętrznego, uczucie jakieś w tej części duszy świata która jest objętą naszym mózgiem, zostanie z równowagi wyprowadzonem, wtenczas uwalnia czyli budzi się przeciwne jemu uczucie i przychodzi do naszej świadomości. Ponieważ zaś „dusza świata" przenika wszystkie ciała przeto zjawiska w świecie zewnętrznym muszą w umyśle naszym wywytwarzać swój wierny obraz. Teorja Dr. Czolbe rozwiązałaby zagadnienie o zgodności myślenia z bytem przedmiotowym, gdyby ta „dusza świata", którą Dr. Czolbe w celu rozwiązania tego zagadnienia na pomoc przywołał, nie była — mrzonką.

To są w krótkości zestawione zdania najznakomitszych filozofów o przedmiocie, któryśmy sobie obrali za temat naszej rozprawki. Przystąpimy teraz do rzeczy samej. (D. d.)

Z ŻYCIA ZWIERZĄT.

STRUSIE W NIEWOLI

przez

J. BĄKOWSKIEGO.

Struś żyje w pustyniach Afryki i południowo-zachodniej Azji, zatem w strefie przeważnie gorącej. Trzymany w europejskich ogrodach zoologicznych, oswajał się wprawdzie do pewnego stopnia, lecz do gnieżdżenia się długo nie można go było zmusić. W Paryżu i Marsylji robiono podobne doświadczenia kilkanaście lat, naśladując ile możności wszelkie warunki jakie strusie mają na wolności, żadne atoli nie zostało uwieńczone pożądanym skutkiem. Usiłowania te powiodły się za to niemal całkowicie w Algierze, we Florencji i w Grenoble. W r. 1857 miał niejaki p. Hardy w Algierze parę strusiów, które oswoiwszy się nieco, zaczęły się gnieździć na sztucznie wzniesionym nasypie piasku. Przy końcu czerwca przesiadywały samiec i samica na przemian po kilka godzin dziennie na gnieździe, a począwszy od 2. lipca siedziały już na niem regularnie. 2go września wylęgło się jedno młode, które biegało zaraz za matką, a w 12 miesięcy zupełnie wyrosło. Był to pierwszy wypadek, gdzie strusie w niewoli wysiedziały młode W r. 1858 zniosła ta sama para 12 jaj, z których wykłuło się 9 młodych. W następnych latach gnieździło się już i w niewoli wychowane pokolenie. W 10 latach (od 1857—1867) zniosły 42 pary 875 jaj, a z tych wykształciło się zaledwie 162. W ciągu tego czasu zginęło 59, zatem pozostało przy życiu 103, z których zajmujący się ich hodowlą znaczne ciągnął zyski.

Na żądanie księcia Demidowa przedsięwzięto w tym samym czasie podobną aklimatyzację strusiów w zoologicznym ogrodzie San Donato we Florencji. Gdy po raz pierwszy strusie zniosły jaja, wysiadywał je tylko samiec, podczas gdy samica nie troszcząc się wcale ani o swego małżonka, ani też o swe przyszłe pokolenie, przechadzała się po ogrodzie najobojętniej. Na chwilę tylko, gdy troskliwy mąż chciał się pożywić lub wody napić, siadała, jakby od niechcenia, na gniazdo. Podczas wtórego gnieżdżenia się musiał samiec skarcić swą nieczułą połowicę i przypomnieć jej obowiązki matki, gdyż okazała się już powolniejszą i siadała naprzemian na gniazdo. Jednakowoż dbalszym i troskliwszym okazywał się tu zawsze samiec.

W Grenoble, w południowej Francji, w ogrodzie aklimatyzacyjnym znajdują się strusie, chowane tamże od dłuższego czasu a gnieżdżące się od lat dziesięć. W kwietniu 1864 r. wygrzebał samiec jamę w piasku $1\frac{1}{2}$ stopy głęboką i do 3 stopy szeroką. W maju poczęła samica składać jaja, co dwa dni jedno, regularnie każdego drugiego dnia o 3 godzinie po południu, i w ten sposób naniosła do 6go czerwca jaj 13. Począwszy od 25. maja siadywał samiec już po kilka godzin dziennie na gnieździe, a od 30. siedział już nieustannie, podnosząc się z gniazda tylko wtedy, jeżeli samica miała znieść jeszcze jedno jajo więcej. Po zniesieniu ostatniego jaja nie opuszczał samiec gniazda codzień przez 22 godziny, samica zaś zajmowała miejsce jego 2 godziny w południe. Każdego poranku o 7ej spędzano go z gniazda i dawano mu śniadanie, składające się z chleba, jęczmienia i trawy. Po czem na rozkaz osoby, pielęgnującej strusie, szedł samiec na gniazdo. Nareszcie po 44 dniach wykłuły się 4 młode. Reszta były bądź zaumarłe i niewykształcone pisklęta w jajach, bądź próżne. Wylęgłe młode strusie chodziły zaraz na drugi dzień za rodzicami i były wielkości dzikiej kaczki. Matka, troszcząca się na pozór tak mało o przyszłe dzieci, okazała się teraz bardzo czułą i troskliwą. Nie opuszczając swych dzieciaków nigdy z oka, biegła coprędzej, jeżeli tylko którego głos zasłyszała. Młode karmiono tą samą strawą co stare.

Strusie w ten sposób chowane nie wydawały się wcale tak głupkowate, za jakie je trzymają niektórzy dawni pisarze. Były wprawdzie płochliwe, jednakowoż przywiązały się nieco do swego dozorcy, któremu wolno było nawet wziąć młode na ręce, nie obudziwszy gniewu lub zazdrości w rodzicach. Natomiast na widok osób obcych wpadały prawie zawsze w gniew szalony.

Mięso strusia ma być bardzo smaczne i pożywne, równające się w smaku mięsu zajęczemu. Jaja, z których jedno prawie 196 kilogramów (przeszło 3 funty wied.) waży, można używać podobnie jak jaj kurzych... Same jaja strusie, różnie przyprawiane, zostały uznane za dobrą potrawę. Dochód roczny z jednej pary strusiów za same tylko jaja i pióra oznaczono w wyż wymienionych miejscowościach dość wysoko. W Grenoble zaś obliczono, że jedna para może rocznie przynieść najmniej 280 franków czystego zysku.

Z kilku tych ciekawych szczegółów, zdaje się więcej jak prawdopodobnem, że strusie dałyby się przynajmniej w południowej Europie zaaklimatyzować.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

Oto dalszy ciąg dziełek dla dzieci, których przegląd rozpoczęliśmy w numerze poprzednim:

— Mała gramatyka języka polskiego dla dzieci od lat 10 do 12. Warszawa. 1873.

— Arytmetyka dla dzieci wyłożył August Jeske. Warszawa. 1873.

Tu p. Jeske sposobem całkiem łatwym i prostym na patyczkach i kostkach uczy dzieci od lat 6 do 9 czterech działań arytmetycznych. Dziecko do świadomości tychże działań przychodzi własnemi spostrzeżeniami.

— Arytmetyka. Część I. obejmująca: cztery działania z liczbami całkowitemi, ułamkami zwyczajnemi i dziesiętnemi. Warszawa, 1873.

Jak wszystko co wyszło dotąd z pod pióra p. Jeskiego i ta książka odznacza się systematycznością i łatwym nadzwyczajnie wykładem arytmetyki, którą autor od pisania cyfer począwszy aż do podstaw reguły trzech wyłożył.

— Geografja. Kurs dla dzieci od lat 9 do 12 wyłożył August Jeske. Z drzeworytami w tekscie. Warszawa. 1874.

Geografja niniejsza wyłożona jest sposobem indukcyjnym; autor zaczyna od rzeczy znanych i postępuje coraz dalej do nieznanych — każe więc dziecku najprzód rozglądać się po domu własnym, potem w około tego domu, po okolicy dalekiej, po powiecie, następnie po gubernji, kraju swoim i sąsiednim, a wtedy dopiero przechodzi do nauki o kształcie, ruchu i stosunku ziemi do innych gwiazd. Każdy szczegół odnoszący się z początku tylko do naszego pokoju, miasta, ulicy, wsi, powiatu i kraju, kreśli z uczniem ołówkiem, bo przecież geografji uczymy się na podstawie map; tym więc sposobem pojęcia dostają się dziecięciu drogą poglądową, drogą doświadczenia i przekonania własnego. Sposób ten nauczania geografji obrali nasamprzód Amerykanie (Cornil) a jak widzimy metoda ta obecnie i u nas się rozpowszechniać zaczyna. Geografja pana Jeske jest pierwszą i wcale udatną próbą na tem polu.

— Rezultaty uprawy płodów rolniczych na nawozach mineralnych i obornych otrzymane na polu doświadczalnem w Nowej Wsi za rok 1873 i 1874. Spisał Mieczysław Huba. Warszawa. 1874.

Pan Mieczysław Huba zestawiwszy w tej pracy porównanie zbiorów pszenicy, żyta, owsa i ziemniaków z lat dwóch, podaje także rezultat zbioru buraków cukrowych, jęczmienia i koniczyny suszonej z jednego roku. Pola na których robił doświadczenia uprawiał: 1) obornikiem, 2) nawozem mineralnym w 10 gatunkach, 3) nawozem złożonym z oborniku i mineralnego; nie mniej też zostawił i dział bez nawozu. Wyniki swoich prac podaje autor na końcu dzieła w dwóch tabelach porównawczych.

— Krótki rys higjeny zębów, napisał Władysław Zieliński, dentysta praktykujący w Warszawie. Warszawa. 1874.

— Krótki opis kuli ziemskiej, przez Michała Markiewicza. Rzeszów, nakładem I. A. Pelara, 1875.

Autor tego dziełka, przeznaczonego do użytku w szkołach początkowych, znany profesor gimnazjalny, mając na uwadze, do jak młodocianych przemawia umysłów, stylem nadzwyczaj przystępnym i treściwym opowiedział wszystko, co niezbędnem jest dla każdego chłopca, aby w głównych przynajmniej zarysach poznał świat który go otacza. Króciutka historja Polski kończy tę broszurkę, która nie tylko dla uczniów szkół początkowych będzie bardzo pożyteczną, lecz powinna by także doczekać się rozpowszechnienia między ludem wiejskim, szczególnie w Galicji zachodniej, gdzie lud czytać już zaczął.

Niemiecka.

— Einleitung in die slavische Literaturgeschichte und Darstellung ihrer älteren Perioden, von Dr. Gregor Krek. I. Band. Einleitung in die slav. Literaturgeschichte. Graz. 1874.

W książce zatytułowanej: „Wstęp do historji literatury słowiańskiej i krótki zarys najdawniejszych jej okresów“, usiłuje uczony autor dać obraz plemienia słowiańskiego w skupieniu, jako odłamu szczepu aryjskiego. Przechodzi pobieżnie system głosowni itd. pierwiastków mowy aryjskiej i w krótkim zarysie przedstawia stan kultury staro-aryjskiej! Dalsze rozdziały traktują o oderwaniu się Słowian od głównego pnia na północy Europy i pochodzie ich za nowemi miejscami do osiedlenia. Następnie zawsze na podstawie cech i właściwości językowych — wykazuje badacz wybitny charakter sławiański u plemion zamieszkujących pierwotnie północną Europę. Według tegoż dowiadujemy się o rzeczy „wcale nowej“ że na długo przed samodzielnem wystąpieniem jako ród odrębny, Słowianie stanowili z Litwinami co do języka jedną prawie gałęź. Jako prawdopodobne ich posiadłości naówczas, podaje te, których i dotychczas nie wydarto im jeszcze zupełnie. Przeciwko twierdzeniu, jakoby Słowianie pierwotni byli tymi, których znano pod nazwą Scytów — występuje stanowczo. Na bezludnych obszarach — powiada — rozpoczynali Słowianie dzieło kultury, gdyż gdziekolwiek przyszli, tam zakwitało rolnictwo. Praca ta rolniczych Słowian przypada na dobę dość rychłą, gdyż na 5 stuleci przed Chrystusem. O stopniu rozwoju duchowego Słowian z owego okresu umie autor powiedzieć niemało, język bowiem słowiański nastręcza wiele i obfitego materjału. Daje mowa pojęcia o człowieku, dając nie mniej i o jego zatrudnieniu, mieszkaniu i pożywieniu, i pod tym względem materjał przez badacza wyczerpany i wielce zajmujący w tej właśnie części dzieła. Na tejże podstawie którą stanowi duch języka, widzimy przypuszczalne przedstawienie praw i związków rodziny słowiańskiej, organizację plemienną, oraz zasady i przekonania polityczne i religijne. Nie występują tu jednak Słowianie dotąd na widowni historycznej, a dopiero — według autora — coraz wybitniejszy rozłam olbrzymiego szczepu na ludy, wprowadza je na tę widownię i wytwarza narody, któremi zajmuje się historja. Księga druga poświęcona przeważnie językowi i temu co ducha jego stanowi: a więc obyczaje, baśnie, podania ludowe, przypowieści, zabobony, wiara w uroki, zagadki i pieśni. Nic bowiem sprawiedliwszego nad to, według słów samegoż autora, że byt narodu obok siły jaką czerpie z religji i mowy rodzinnej, zawisł nie mniej od przechowania obyczajów odziedziczonych po przodkach. Znajomość tradycji każdego narodu jest nieocenionym skarbem dla umiejętności. A jakkolwiek z słowiańskich właśnie pomników tego rodzaju stało się wiele łupem czasu i niepamięci, to przecież zostało wiele, co zamierzchłe te czasy rozwidnia. Są to mianowicie nawyknienia i zwyczaje, które autor poczytuje za nieoceniony materjał do poznania starożytnych obyczajów. Nie mniej kładzie przycisk na tworzenie się imion własnych, jako charakteryzujących ducha ludu, a wszystko to w ogóle uważa za najrealniejszą część literatury tradycyjnej. W dziele tem, z wyjątkiem ustępów poświęconych wyłącznie właściwościom języka i porównawczej części jego — wszystko zresztą nastręcza zajmującą lekturę dla każdego wykształconego człowieka, nietylko dla ciekawego badacza. — Tom powyższy jest początkiem dzieła obszerniejszego, które po wyjściu z pod prasy będzie prawdopodobnie zasługiwało na ocenę obszerniejszą, czego uczynić nie omieszkamy.

— Landeskunde von Oesterreich - Ungarn. Mit geographisch - statistischen und anderen einschlägigen Literatur- Anzeigen, von Dr. Ferdinand Grassauer, k. k. Scriptor an der Wiener Univers. Bibliothek. Wien. 1875.

Książka ta obejmuje jeografję fizyczną, topografję i statystykę każdego z krajów koronnych monarchji austrjackiej, uwzględnia stosunki narodowości, religijne i językowe, podaje szczegóły odnoszące się do rozwoju materjalnego i umysłowego oraz historję każdego kraju koronnego aż do jego połączenia z państwem austrjackiem według najnowszych źródeł. Pojedyńcze rozdziały poprzedza literatura geograficzna i kosmograficzna kraju, o którym ma być mowa. Część druga książki obejmuje historję państwa austrjackiego jako całości. Krytyka wiedeńska bardzo dobrze przyjęła tę książkę.

Wiadomości z kraju i ze świata.

ODEZWA.

Poginęły dzieci polskie za wiarę. Stało się to niedawno, niespełna rok temu. Lud polski, wbrew prelekcjom odstępnych i zwątpiałych o „bezkorzystności“ ofiary, objawił na nowo niespożytego ducha Polski, i stwierdził potrzebę świadectwa dla prawdy i protestu przeciw uciskowi, jeżeli nie można siłą, to choćby męczeńską krwią. Przysłano nam listę pomordowanych na Podlasiu. I zapytaliśmy: Jak te imiona uczcić? Biją medale dla głośnych — toż umieśćmy na bronzie imiona jednych z tych, których cnót i cichych zasług oprócz Boga, nikt nie zapisuje. Akt ten tem jest dzisiaj potrzebniejszym, czem w głębszy suniemy się upadek. Bo oto odzywają się już głosy i pragnienia, żądające, przez nienawiść dla caratu niemieckiego, porozumienia się i sojuszu z caratem moskiewskim! Niewolno wyznawcom Boga między dwoma szatanami wybierać. Już sama taka chęć jest bluźnierstwem i grzechem. Chcemy uświęcić imiona nieznanych światu męczenników i podnieść je na ołtarz dłuższej czci narodowej. Chcemy obłąkanych rodaków, szukających przymierza z Moskwą, otrzeźwić, orzeźwić — i nawrócić na ciernistą drogę pokutnego a odradzającego się narodu. W tym celu, my niżej podpisani zawiązaliśmy się w komitet, mający zamiar wybicia medalu dla uczczenia włościan polskich, pomordowanych przez Moskali nu Podlasiu za ich miłość dla wiary i ojczyzny. Pragnęlibyśmy wybić medal wielki, mogący pomieścić nazwiska wszystkich ofiar. Subskrypcje na medale z bronzu, w cenie 3 zlr. w. a., raczą przyjmować wszystkie swobodne dzienniki polskie i osoby, umyślnie do tego przez komitet upoważnione. Wszystkie przesyłki pieniężne mają być adresowane do p. Alfreda Młockiego, mieszkającego we Lwowie przy ulicy Pańskiej pod liczbą 3.

Lwów dnia 19. października 1874.

Mieczysław Darowski, Alfred Młocki, Ks. Dalmacy Ufryjewicz, Kornel Ujejski.

Redakcja nasza subskrybując na 2 medale, chętnie przyjmuje pośrednictwo w zbieraniu dalszych składek, które, miejmy tę nadzieję, bodaj obficie popłynęły od naszych czytelników.

Odpowiedź. Pani W. z. L. Wilkońska, nadesłała do „Tygodnia“ pobieżną recenzję rozprawy H. Sybla p. t. „Die erste Theilung Polens“, której nie można było umieścić z powodu, że „Tydzień“ miał już gotową obszerniejszą recenzję. W fejletonie „Gazety Narodowej“ zeszłego tygodnia znajduję tę samą pracę, ale opatrzoną wycieczkami przeciwko mojej osobie, których to wycieczek nie było w rękopisie nadesłanym dla „Tygodnia.“ Bez względu jednak, kto to pisał czujemy się w obowiązku odpowiedzieć na poczynione nam zarzuty.

Wiem bardzo dobrze, że Caro jest prusofilem, wiem, że w jego kontynuacji Röppla, znajduje się wiele rzeczy, które mogą uledz surowej krytyce, mimo to jednak faktem jest, że praca jego jest gruntowną, że kto chce pracować w wieku 15., bez niej obejść się nie może. Dowodem tego, że z każdej pracy z owych czasów, na każdej prawie stronicy trzeba cytować historję p. Caro, a jeden z naszych historyków(?) który tak dzielnie kruszy kopjez p. Caro i Syblem, w swojej „Elżbiecie, żonie Władysława Jagiełły“ odpisuje całe ustępy z dzieła p. Caro, tego prusofila i nieuka, jak to nie długo gruntowna recenzja tego dzieła udowodni.' Że p. Caro stoi wyżej od Röppla, któż to utrzymuje? Mówiąc o pp. Röpplu i Caro jako o takich, którym własnych historyków przeciwstawić nie możemy, mieliśmy na myśli historyków, którzy usiłowali przedstawić całokształt naszych dziejów, a nie takich, którzy się tylko jedną dobą dziejową zajmowali. Cośmy powiedzieli tego nie cofamy, bo ani Naruszewicz, ani Moraczeweski, ani Szujski, z Röpplerem, ani p. Caro porównania nie wytrzymają. Historja Naruszewicza, jest tylko nagromadzeniem materjałów, a następne prace naszych historyków są tylko mniej więcej udałemi kompilacjami. Jeżeli mielibyśmy mówić o historykach naszych, którzy poszczególne działy dziejów Polski opracowali, to znajdziemy rzeczywiście takich, jak: Lelewel, Szajnocha, Bielowski, Maciejowski i inni, z którymi obcy równać się nie mogą — ale myśmy mieli na myśli tylko tych, **którzy w jedną całość dzieje** nasze ujęli. Kto nam inne myśli podsuwa, ten chyba postępuje w złej wierze. Drugi zarzut z którym się spotykam w fejletonie „Gaz. Nar“ jest, że użyłem wyrazu Liefladnja, zamiast Inflanty. Radzimy pani W. popatrzeć się na kartę Polski Topolnickiego ułożoną podług Lelewela, Wrotnowskiego i Zanoniego, a tam

znajdzie tę nazwę. Co się tyczy ostatniego zarzutu dla czego nie walczę z p. Syblem, odpowiadam, że nie wiele jest o co walczyć. Niektóre fakta, sprostowałem a takimi argumentami, jak inni walczyć nie chciałem. Zresztą „Tydzień“ rozumiejąc dobrze swoje zadanie, nie umieszcza dzieł historycznych, a całe dzieło trzebaby napisać, gdyby się chciało wystąpić z Syblem do walki gruntownej. W programie już naszym powiedzieliśmy, że będziemy tylko pouczać, dla tego podaliśmy treść pracy Sybla, z której ta rzeczywista wypływa nauka, że Austrja przyczyniła się głównie do rozbioru Polski. Jeżeli p. W. nie zrozumiała tego, to już chyba nie my temu winni.

B. Czerwieński.

Literatura, sztuka i nauka.

— W Krakowie zaczął już wychodzić zapowiadany oddawna *Przegląd Krytyczny*. Pierwszy numer mamy przed sobą. Założono go na wzór niemieckiego *Literarisches Centralblatt* i w tem główna wada. Pismo niemieckie umieszcza bardzo rzadko obszerne i wyczerpujące recenzje, ponieważ nie wzięło ono sobie za zadanie „wyrabiać autorów“, lecz zapoznawać szersze koła czytelników z pojawiającemi się utworami. W Niemczech gdzie czytelników jest krocie, publikacja taka może się utrzymać. U nas inne stosunki. Polski „Przegląd krytyczny“ mógłby tylko wtedy prawdziwą krajowi oddać usługę, gdyby ogłaszał recenzje wyczerpujące a to w celu „kształcenia“ i „wyrabiania autorów.“ O nowych publikacjach czytelnicy nasi zawsze wczas się dowiadują z dzienników politycznych i wychodzących teraz pism literackich, a więc krócitkie recenzje pozostaną bez znaczenia. Nam potrzeba właściwej krytyki, nie sprawozdań. Tymczasem pierwszy numer „Przeglądu krytycznego“ składa się przeważnie ze sprawozdań. Miejmy jednak nadzieję, że dalsze numera będą więcej wyczerpujące, czego szczerze pragniemy.

— Wydział historyczny poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, postanowił na ostatniem posiedzeniu zająć się natychmiast ułożeniem „Słownika“ tych miejscowości, których nazwa z polskiej na niemiecką zmienioną została. Myśl tę uważamy za bardzo piękną, patrjotyczną i dla naszej historji niezbędną, gdyż po dłuższym przeciągu lat, nawet tradycja mogłaby zaginąć o nazwach polskich wielu miejscowości, które Prusacy par force chrzczą na niemieckie.

— Na wystawę krakowską Tow. Przyj. Sztuk pięknych nadszedł nowy obraz z Monachjum Ludwika Żmigrodzkiego „Na kazaniu.“

— W Warszawie wystawiają nową offenbachjadę: „La Perichole.“ W niej będzie debiutował pierwszy raz p. Chodźko, pod pseudonimem Noel; o jego przyjeździe z Ameryki donieśliśmy niedawno.

— Halkę Moniuszki przedstawiono w Warszawie po raz stosiedemdziesiąty dziewiąty.

— Dnia 25. listopada odbędzie się w Lipsku wielka licytacja książek polskich, szczególnie traktujących o Słowiańszczyźnie i Rossji; mają się znajdować pomiędzy niemi prawdziwie białe kurki. Sądzimy, że wiadomość obojętną nie będzie dla naszych bibliofilów, którym donosimy jeszcze, że katalogu książek wystawionych na tę licytację dostać można gratis w księgarni poznańskiej I. Jolowicza w Rynku.

— Z pewnych źródeł dochodzi nas wiadomość, że w przyszłym roku otwartą zostanie w Monachjum wielka międzynarodowa wystawa obrazów, z którą połączoną zostanie także wystawa wszystkich dzieł Kaulbacha. Już nawet obecnie wystosował komitet zawiązany w tym celu w Monachjum zapytanie do muzeum Berlińskiego, czy kartonów Kaulbacha do fresków zdobiących mury przysionka tegoż muzeum, a znajdujących się w posiadaniu jego — nie zechce wystawie do publicznego użytku udzielić.

— Muzeum brukselskie wzbogaciło się obecnie dwoma obrazami Cranacha starszego: „Adamem i Ewą“. Zato dwa inne znajdujące się w tem Muzeum cenne malowidła Rubensa „Męczeństwo św. Lierina“ i „Pokłon trzech królów“ nieszczęśliwym wypadkiem mocno uszkodzone zostały.

— Znany dramaturg niemiecki Gutzków, ukończył nową tragedję, której sceną Granada za czasów Filipa II. Tragedja ta ma być wystawioną bezimiennie w Berlinie i Wiedniu.

— W krótce w kryształowym pałacu w Londynie urządzoną zostanie wystawa dzieł najznamienitszych artystów niemieckich, szczególnie szkoły Monachijskiej, Kaulbacha, Schwinda, Schnorra itd.

— Teatr Porte Saint-Martin w Paryżu przygotowuje wielki dramat, którego sama wystawa kosztować będzie 150.000 fr. Dramat ten przerobiono ze znanego romansu Jul. Verne'a „Podróż na około świata.“

— We Florencji zawiązał się komitet, którego celem postarać się o wielki obraz, mający przedstawiać „Deputację wręczającą królowi w dniu 10. października 1870 r. wynik plebiscytu ludności Rzymu.“ Wykonanie tego olbrzymiego dzieła, w którem mieścić się ma mnóstwo portretów, powierzono młodemu artyście Capocci'emu z Neapolu. Po skończeniu obraz wręczonym zostanie królowi. Koszta pokryto dobrowolnemi darami gmin włoskich.

— Wiedeński „Kunstverein“ otworzył w dniu 8. października 252gą miesięczną wystawę swoją i rozpoczął nią 25 rok swojej działalności. Na wystawie tej, pomiędzy innemi, znajduje się wielki obraz historyczny prof. Conräder'a z Monachium, „Śmierć cesarza Józefa II.“ ostatnie wielkie malowidło olejne Kaulbacha „Krzyżowcy“ i dwa pyszne obrazy Troyona „Letni dzień w Normandji“ oraz „Przy ścinaniu drzewa.“

— Offenbach nadesłał libretto nowej opery swojej p. t. „Madame Archiduc“ dyrekcji Teater an der Wien, która już przekład i obrobienie tego tekstu dwom zdolnym pisarzom powierzyła.

Podróże i Komunikacje.

— Jak głoszą, angielski rząd rozważa właśnie projekt wysłania w przyszłym roku ekspedycji podbiegunowej. — Porucznik Payer 9. listopada będzie zdawał sprawę w geograficznem towarzystwie londyńskiem z przygód i rezultatów wyprawy austryjackiej.

— Wyprawa naukowa Aral Kaspijska, petersburgskiemu towarzystwu przyrodniczemu pod dniem 12 (24) września przesłała wiadomości z Pietro-Aleksandrowska nad Amu-Darją, w których wykazuje bardzo bogate zdobycze naukowe i zbiory dokonane w badanych przez siebie okolicach. I tak geologowie należący do tej ekspedycji do 14. września zebrali 14 gatunków ssaków, 108 gatunków ptactw, 18 płazów, 15 gatunków ryb — razem 500 skamieniałych egzemplarzy.

— Podróżnik i dziennikarz amerykański Stanley, znany z odkrycia Livingstona, o którego wyprawie do środkowej Afryki niedawno czytelnikom naszym donosiliśmy, dotarł już do Zanzibaru i czyni przygotowania do dalszej podróży we wnętrze kraju.

— Jak donoszą z Aten, przybyła tam kompanja niemieckich archeologów, z zamiarem rozpoczęcia poszukiwań i rozkopów w okolicach Olimpji, na koszt cesarstwa niemieckiego. Rząd grecki wyśle specjalną komisję na miejsce dla obejrzenia tych robót.

— Znaleziono nowy skarb kopalny pomiędzy Wolbromem a Polską, na gruntach wsi Dzierżno. Jest to pokład węgla, którego grubość wynosi 20 stóp. Jeżeli gatunek materjału wyrówna jego obfitości, znaczne korzyści przemysł krajowy z tego odkrycia odnieść może.

— W Vingelz w Szwajcarji odkryto przy kopaniu bardzo interesujące szczątki budowli palowych. W głębokości najwyżej 2—3 stóp znaleziono mnóstwo horyzontalnie położonych belek, grubości stopy, spoczywających na palach. Belki te, zagłębione w mule od wielu stuleci wybornie się zachowały. Są dębowe po największej części, kilka z nich jednak wycinano z innego gatunku drzewa — prawdopodobnie z gruszkowego. Kilkadziesiąt kroków od tego wykopaliska znaleziono w głębi ziemi łódź doskonale zakonserwowaną, długą na 42 stóp a na 3 szeroką. Rzuca ona ciekawe światło na stan budownictwa okrętowego w Helwecji za panowania Rzymian.

— W Warszawie powstał projekt wybudowania trzeciego stałego mostu przez Wisłę. Projekt ten podało miastu towarzystwo angielskie, przez usta dwóch reprezentantów swoich, inżyniera p. Goold i hr. Michałowskiego. Warunki stawiane przez tych panów są nadzwyczaj dogodne. Żądają tylko prawa pobierania mostowego przez pewną oznaczoną liczbę lat. Most projektowany stanie prawdopodobnie pomiędzy aleją Jerozolimską a Saską kępą, jak to już dawniej proponowała spółka „Lilpop, Rau i Löwenstein“ na warunkach o wiele trudniejszych.

— Projekt tunelu pomiędzy Francją i Anglją, zdaje się wchodzić w praktyczną fazę. Zainteresowani w tem olbrzymiem przedsięwzięciu inżynierowie i kapitaliści żądają od obudwu rządów koncesji tylko na trzydzieści lat — podczas gdy spółkom kolejowym udziela się ona zwyczajnie na lat 99 — i nie domagają się ani gwarancji ani zapomóg jakichkolwiek. Dalej oświadczają gotowość złożenia natychmiastowego 4 miljonów franków na pierwsze roboty. Do zrealizowania tego planu potrzeba zapuścić szacht na francuskim i angielskim brzegu i przebić dwie długie galerje z obu stron. Powodzenie jest niewątpliwem. Zajmują się tem przedsięwzięciem szczególniej Leon Say, Rotschild i Lavalley, inżynier, który przy budowie kanału Suezkiego pomysłowością i genjuszem swoim już się odznaczył. Lavalley oznacza kosztorys całego dzieła na 150,000.000 fr. podczas gdy angielscy inżynierowie sądzą że koszta przejdą sumę 250,000.000 fr. Lavalley obiecuje w 5 latach całego tego przedsięwzięcia dokonać i zachęca oba rządy angielski i francuski do jak najenergiczniejszego i najszybszego rozpoczęcia. Z owych przyobiecanych sum, cztery miljony na pierwsze kroki zbiorą się w ten sposób: francuska kolej północna wyłoży miljon, dwie kompanje w których posiadaniu linja z Londynu do Dovru się znajduje — dadzą także miljon, Ferdynand Duval w imieniu miasta Paryża ofiaruje 500.000 fr., Rotschild 500.000; Leon Say, Chevallier i Lavalley obowiązują się każdy 25.000 fr. dostarczyć.

— Między Japonją a Chinami będzie wkrótce telegraf założony. Rząd chiński nie odmówił swego przyzwolenia.

Statystyka.

— Świeżo wyszło w języku rossyjskim dzieło pułkownika sztabu głównego Strzelbickiego, p. t. „Rozmiary cesarstwa Rossyjskiego w całej jego rozciągłości,“ prostuje dawne błędy i daje stanowcze wymiary nowych posiadłości azjatyckich. Cała objętość krajów pod panowaniem Rossji zostających, wynosi 400.228 mil kwadr. geogr., część europejska, ze wszystkiemi wodami wewnętrznemi i morzem Azowskiem, 107.611 mil kw. Zaliczony tu jest jednak przedkaspijski Kaukaz, obejmujący 8.130 mil kw., oraz te części gubernji Orenburskiej, Permskiej i Ufijskiej, które administracyjnie, ale nie geograficznie należą do Europy. W tej liczbie mieści się archipelag z Nową Ziemią, 1.994 i morze Azowskie 669 mil kw., a w tej liczbie jeziora 2.061 mil. Rossja azjatycka już teraz jest blisko trzy razy większą od europejskiej; administracyjnie obejmuje, wliczając morze Kaspijskie jezioro Aralskie i wszystkie wewnętrzne wody, 292,619 mil kw., a ściśle geograficznie 300.098 mil. Morze Kaspijskie i jezioro Aralskie, mają razem 8.646 mil kw. Rossja panuje przeto nad szóstą niemal częścią całej znanej dotąd powierzchni ziemi, która według Behma i Wagnera, liczy 6,426.500 mil kw. Ostatnie powiększenie posiadłości, Turkiestan, liczy 86.918 wiorst kw., a na tej przestrzeni mieszka 70.000 Rossjan.

Szkolnictwo.

— 12. b. m. otwarto w Londynie szkołę medyczną dla kobiet. Kollegium profesorów jeszcze nie całkiem pełne; jednakże wykłady Chirurgji, Patologji, Praktyki lecznicze j. Akuszerji, Anatomji i Botaniki już są obsadzone. Znaczna liczba uczenic dotąd się zapisała, a zgłoszenia nowe nie ustają.

Nekrologja.

— Wiktorja Bakałowicz, wysoce utalentowana artystka teatrów warszawskich, zmarła d. 30. października w Warszawie. Przez jej śmierć scena poniosła prawdziwą stratę.

ROZMAITOŚCI.

— Straszliwe, nieznane dotychczas trzęsienie ziemi miało miejsce na zachodnich brzegach Południowej Ameryki w dniu 13. sierpnia 1868 roku. Kwitnące handlem i przemysłem miasta jak Iquique, Tacua, Ecuador i wiele innych ucierpiały ogromnie, jednakże smutny los Ariki z niczem porównanym być nie może. Niedawno ukazało się dzieło pewnego niemieckiego turysty po Kordylierach, p. Rosenthala, w którem znajdują się co do tego wypadku szczegóły następujące:

„Około wieczora — powiada on — statek nasz zbliżał się do pionowo sterczących skalistych brzegów Boliwji, u których stóp istniała niegdyś zamożna i ruchliwa Arika. Już w znacznej nawet odległości od brzegów spotykaliśmy pływające szczątki okrętów, belek, dachów i trupów zwierząt domowych, kołyszących się złowrogo na fałach morskich. Zarzuciwszy kotwicę i wylądowawszy, spotkałem zaraz młodego człowieka o blond włosach i niebieskich oczach, zdradzającego germańskie pochodzenie. Gdy spostrzegł, iż oglądam się za wyszukaniem sobie jakiego schronienia, ofiarował mi natychmiast swój kantor, zaimprowizowany ze szczątków zapadniętego domu, na przenocowanie. Don Karlos — tak się bowiem ten człowiek nazywał — zaprowadził mnie do baraku z płów postawionego i żaglowem płótnem nakrytego, wskazując sofę jako jedyny mebel, którym mi mógł na teraz służyć. — Zaraz wkrótce wyszliśmy się przejść po ulicach zawalonych stosami gruzów porozpadanych domów. Tutaj leżała w poprzek ulicy na bruku wieża kościelna, tam kałuże cuchnącej wody morskiej tamowały komunikacją, a wszędzie kupy porozrzucanych skrzyń od towarów, mebli, odzienia, książek, szyn żelaznych, kominów, bloków kamiennych, drzew powyrywanych z korzeniami, szczątków okrętowych. Nawet starożytne mumje indyjskie, wyparte z odwiecznych swoich w ziemi siedzib, z rozpuszczonemi włosami, wyschłą jak kość skórą, tuzinami zawalały drogę, przyczyniając się do nadania temu i tak ponuremu obrazowi straszliwszej jeszcze powierzchowności. Ale nie brakło także nowożytnych okazów zwłok ludzkich; całe wybrzeże pokryte niemi było; błyszczały fosforycznem światłem i raz wraz ruchomą falą morską zabierane i znów napowrót na ląd wyrzucane bywały. — Nie zapomnę nigdy tego okropnego widoku, jaki przy świetle księżyca przedstawiał się oczom moim. Don Karlos takie podał mi szczegóły katastrofy: — „Był on właśnie z kilku przyjaciółmi przy stole, gdy posłyszano pierwsze przytłumione odgłosy, jakby oddalonego grzmotu i następnie falowate trzęsienie ziemi. Śmiano się z tego wypadku i nikomu na myśl nawet nie przyszło opuścić mieszkanie. Terremotos bowiem było tam rzeczą tak zwyczajną, iż nikt się niem nie kłopotał. Gdy atoli trzęsienie ziemi nie miało końca i coraz silniejszem się stawało, opuszczono dom i to w sam czas, gdyż zaledwie wyszli na ulicę, aż prawdziwie piekielny taniec ziemi się zaczął. Jakby jaka płynna masa kurczyła się i wzdymała powierzchnia gruntu; z kierunku falowatego przybierała horyzontalny a tak szybko takowy zmieniała, iż nikt na nogach nie mógł się utrzymać. Głuche, przytłumione grzmoty z głębi ziemi rozlegały się przerażająco, domy poczęły się walić z trzaskiem i łoskotem nadzwyczajnym, przestrach najwyższy opanował wszystkich. Lud w trwodze trudnej do opisania padł na kolana, bił się w piersi, wołając przeraźliwie „misericordia!" Zatrzymał jakiegoś Anglika, który biegł zaaferowany, nie zważając na klęczących i modlących się; chciano go zmusić, aby także to samo uczynił; Anglik nie chciał, wyrwał się i pędem pobiegł dalej; dano do niego z tuzin strzałów z rewolwerów. — Ale nie koniec na tem: naraz jakby z jednej piersi wydarł się okrzyk: „Sale el mar!" Okropność! Cała portowa przystań stała się pustą, morze cofnęło się w tył, statki zaś stojące na kotwicach osiadły na gruncie. Kto w Boga wierzył, biegł na wzgórze Morro, wznoszące się na jakie dwieście stóp nad poziom wody. Morze poczęło wracać na powrót szerokie, przeźroczystej zieloności, pokryte pianą bałwany, rzuciły się wściekle na nieszczęśliwe miasto, roznosząc wszędzie śmierć i zniszczenie. W krótkiej chwili Arika przedstawiała stos gruzów trudnych do rozpoznania. Straty w ludziach i własności były nadzwyczajne. W samym budynku celnym leżało towarów oszacowanych na trzy miljony pesos, po których śladu nawet nie pozostało. Fala morska pozrywała jak nici pajęcze łańcuchy od kotwic, i wzniósłszy w górę okręty, rzucała takowe z niepojętą siłą na ląd daleko. Wiele z tych okrętów zatopiło się z ludźmi i ładunkiem, tylko jeden północno-amerykański wojenny parowiec Wateree ocalał, uwięzłszy o pół mili angielskiej od brzegu w pogłębionej kotlinie gruntu.—Poruszenie i spuszczenie go napowrót na wodę kosztowałoby więcej, aniżeli jest wart, więc postanowiono go zostawić na miejscu, aby świadczył w najpóźniejsze czasy o strasznej dnia tego katastrofie. Inne większe okręty, a pomiędzy niemi wojenny peruwiański America, porozbijane na tysiączne sztuki, zapełniały szczątkami całą przestrzeń nadmorską. — Kiedy rozwścieczona natura uspokoiła się nieco, rozpoczął się drugi akt tej tragedji. Hordy motłochu, chciwych zdobyczy majtków z rewolwerami w ręku, rzuciły się do rabowania rzeczy będących przedtem własnością mieszkańców Ariki. Prawda wyznać nakazuje, iż nawet oficerowie peruwiańskiego garnizonu, którzy z podwładnymi sobie ludźmi powinni byli przecie stanąć w obronie cudzej własności, sami rozbijali kasy kupieckie, zabierając pieniądze, jakie się w nich znajdowały. Jakże się teraz dziwić, iż lud prosty, widząc, co się dzieje, począł także na swoją rękę rabunek, nie troszcząc się już ponawiającemi się od czasu do czasu słabszemi wstrząsnieniami ziemi".

— W Texas w Ameryce istnieje ustawa, zmuszająca wszystkie osoby obojej płci między 6 a 18 rokiem życia do uczęszczania do szkół publicznych. Osoby które temu obowiązkowi zadość nie czynią ulegają dość surowym karom. Gdy jednak w Texas wczesne małżeństwa są na porządku dziennym, więc nie dziw, że często gęsto przychodzi do śmiesznych scen z powodu powyższej ustawy. I tak niedawno temu otrzymał jeden z komisarzów szkolnych list od pewnej damy, liczącej lat 17, która skarży się, że ją skazano na karę pieniężną, ponieważ od kilku tygodni przestała do szkoły uczęszczać. Skarga brzmiała: „Mam męża, o którym muszę myśleć i dziecię które muszę pielęgnować; muszę gotować, prać, utrzymywać porządek w domu — a więc gdzie czas aby uczęszczać do szkoły? Upraszam przeto o zwolnienie mnie z nałożonej na mnie kary, jak niemniej o uwolnienie wszystkich osób zamężnych od uczęszczania do szkoły". Zdaje się, że surowa ustawa zostanie w rzeczy samej, w powyższym duchu zmieniona.

— W Kalifornji, znajduje się szczególne źródło, pełne gazów zabijających. Jest to bezwątpienia jedna z największych osobliwości tego kraju. Woda jest zimna jak lód, ale tak szumi i wre, jakby bezustannie kipiała. W okół na sto metrów nie znajdziesz najmniejszego życia. Wieczna śmierć panuje tu od wieków. Nawet ptaki, które przelatując, dostają się przypadkiem w tę krainę, padają nieżywe. Aby się przekonać o zabójczem działaniu źródła, wystawiono jaszczurkę na działanie gazów, które się z niego wydzielają, a w dwóch minutach jaszczurka zginęła. Człowiek zakończyłby życie najpóźniej w 20 minutach. Osoby, które z jaszczurką robiły doświadczenie, stały dopiero 5 minut przy źródle, a już każda z nich czuła jakąś ospałość, ociężenie we wszystkich członkach a oczy poczęły we mgle pływać. Gaz zabójczy jest to węglin najsilniejszy; gasi on nietylko życie organiczne, lecz nawet płomień.

— Niejaki Boyton Amerykanin, za 500 dolarów ofiarowanych mu przez p. C. S. Merrimana z Nowego Jorku, zgodził się w wynalezionym przez tego ostatniego i patentowanym stroju do pływania, powierzyć się falom morskim, dla udowodnienia praktyczności tego wynalazku. W przyszłym miesiącu parowiec odwiezie zuchwałego awanturnika na 200 mil od lądu i zostawi go samemu sobie na pełnem morzu, gdzie wolno mu pluskać i igrać dosyta, pokąd okręt jaki nie spotka go i nie zabierze. Na tę zuchwałą wyprawę Amerykanin nasz zaopatruje się w suszone mięso i świeżą wodę — na cały tydzień, a także w race do sygnałów i chorągiew. Zapasy te ukryte będą w nieprzemakalnej torbie. — Właśnie kończyliśmy tę naszą notatkę zaciekawieni sami, jaki będzie rezultat zuchwałego przedsięwzięcia Boytona, gdy nowa „Wiener Abendpost," najściślejszą wiadomość o tej sprawia przyniosła. Parowiec Queen, o 300 mil od amerykańskiego wybrzeża zatrzymał się na rozkaz Boytona, który przywdziawszy wyżej wspomniany, pływacki przyrząd, mimo oporu i przedstawień załogi chciał rzucić się w morze. Na ten raz mu przeszkodzono. Jednakże o 7 mil od irlandzkich wybrzeży zamiaru swego dokonał. Zabierało się już w chwili skoku jego w fale na burzę; w pół godziny potem rozszalał się wściekły orkan. Wszyscy mieli tedy naszego pływaka za bezpowrotnie straconego. Tak się jednak nie stało. Pojawił się on nagle w Cork zdrów cały i rzeźwy. Jak twierdził, „przyrząd Merrimanna" utrzymywał go wciąż na powierzchni wody. Przykrości żadnej nie zniósł, okrom odrobiny choroby morskiej ze zbyt mocnego kołysania się na wysokich jak góry bałwanach powstałej. Po 7 godzinnym pobycie w morzu i przebyciu 80 mil przestrzeni, za pośrednictwem swego przyrządu skierował się bez przeszkody do małej przystani, gdzie wyszedłszy na ląd, w pobliskiem miasteczku wielką ilość własnych i powierzonych mu listów oddał. Se non é vero é ben trovato!

— Obserwatorjum paryskie, jak wspomnieliśmy w poprzednim numerze, wróży ciężką zimę; takąż samą groźbę przynoszą obecnie gazety z nad Sprei. W lasach pod Köpenik zabito wronę polarną, złowieszczego ptaka, który jedynie tylko jako zwiastun niezmiernych mrozów zwykł w tych stronach się pojawiać.

— Jeden z dzienników paryskich podaje ciekawą statystykę samobójstw dokonanych w tem mieści—przez rzucanie się na bruk ze szczytu wysokich budowli. Według tego wykazu od czasu ustawienia kolumny Vendome, rzuciło się z niej 127 osób; z kolumny lipcowej osób 49; z łuku tryumfalnego na polach Elizejskich 31; a z wież kościoła Notre-Dame w ciągu bieżącego wieku aż 767 osób.

— Wielki, hieroglifami pokryty obelisk, który niegdyś Mahomed Ali pasza złożył w darze królowi angielskiemu, Jerzemu IV. ma być w tych czasach sprowadzony do Londynu i ustawiony na placu nad Tamizą.

— Nowa wielka opera w Paryżu, która z dniem 1 stycznia 1875 r. otwartą zostanie, ma wysokości od piwnic do dachu, 70 metrów — czem, w przybliżeniu nawet, żaden teatr dotychczas nie mógł się popisać. Sala widowisk w tym olbrzymim budynku mieści w sobie 2.200 miejsc.

Odpowiedzi Redakcji.

M. W.... w O.... Podzielamy najzupełniej uczynioną nam uwagę. W Nr. 10. kończy się rozprawa o Grottgerze, a ponieważ nie chcemy zbyt długo zajmować czytelników jednym przedmiotem, przeto rozprawę o Janie Matejce umieścimy później, a tymczasem uzyskawszy nieco wolnego miejsca, zaczniemy drukować bardzo piękną rozprawę, poświęconą wyłącznie kobietom. Że niemi będziemy się stale zajmowali i to con amore, o tem prosimy nie wątpić. Kobietę uważamy za duszę społeczeństwa.

X... we Lwowie. Będzie... czekamy tylko na oryginał, którego mimo reklamacji jeszcześmy nie otrzymali.

M. S. w Nowym Targu. Dziękujemy; listów podobnej treści otrzymaliśmy już kilkaset. Że takie wotum ufności jest dla nas najlepszą zachętą, o tem pisać nie potrzebujemy.

K. R. w Czortkowie. Dziwnym zbiegiem okoliczności list Pański z zapytaniem, czy dzieła tak znakomitego i lubianego pisarza jak Dzierzkowski nie pojawią się nigdy w zupełnej edycji, przyszedł właśnie w chwili, gdy właściciel i redaktor naszego pisma zawarł ze spadkobiercami Józefa Dzierzkowskiego umowę, względem wydania wszystkich jego powieści. Jest ich razem około 70. Wszystkie wyjdą w 8 bardzo dużych tomach, które prenumeratorowie „Tygodnia" otrzymają tylko za 10 złr. I tę kwotę będzie można jeszcze składać ratami po 1 złr. 25 centów. O podobnej taniości w Galicji nikt dotąd nie słyszał. W następnym numerze będzie umieszczony prospekt a w nim bliższe warunki.

Dr. D. w Krakowie. Obliczamy się jeszcze z miejscem i czasem, a w razie gdybyśmy żadną miarą nie mogli, zwrócimy.

Wszystkich pp. Autorów i nakładców, którzy życzą sobie, by o dziełach przez nich wydawanych, były umieszczane recenzje w naszem piśmie, upraszamy o przysyłanie nowości wprost do Redakcji.

— Manuskryptów redakcja nie zwraca, z wyjątkiem tych, których zwrot autor sobie zastrzeże.

Treść Nr. 8.

O medalu na cześć poległych włościan podlaskich przez Józefa Rogosza; *Serce i ręka,* powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.); *Obrazy z Anglji,* przez Sewera (c. d.); *Studja o sztuce w Polsce* przez Józefa Rogosza (c. d.); *Żona poległego,* nowella Jokai'a; *Pamiętniki z r. 1831,* Ignacego hr. Komorowskiego (c. d.); *Z Namouny,* wiersz Chamca; *Pogadanka* Jana Lama; *Teatr* przez M. hr. Dzieduszyckiego; *Podróże do bieguna północnego* przez L. Tatomira (c. d.); *Piśmiennictwo polskie* przez Dr. Skorskiego; *Kronika paryska* Chamca; *Ze świata naukowego* przez Wierzejskiego; *Z Życia zwierząt* przez Bąkowskiego; *Bibliografja. — Wiadomości ze świata. — Rozmaitości. — Od Redakcji.*

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.